Nr. 7 (1621) Warszawa, 17 lutego 1912 r. Rok XXXII.

PRAWDA

Tygodnik polityczny, społeczny i literacki.

Redakcja i Administracja: WŁODZIMIERSKA 5. Telefon 73-80.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Koło Polskie w Berlinie.

[illegible]

W sali, gdzie zasiada dziś germański „parlament bez jutra“ pod przewodnictwem jednego z towarzyszów Bebla — rozgrywa się niezmiernie dramatyczna scena z dziejów porozbiorowych Polski, scena, która powinna przykuć ku sobie wzrok całego narodu i nagłym błyskiem świadomości sięgnąć na dno jego sumienia. Koło polskie w Berlinie, zbiegiem warunków niezmiernie dziś wpływowe, będące nieledwie „języczkiem u wagi“ w zapasach dwóch wielkich prądów politycznych — rozstrzygać będzie mogło niejedną ważną sprawę stosownie do swoich widoków.

Jakież są te widoki i jaka będzie polityka Koła?

Zanim ono na to pytanie odpowie, spójrzmy na obecną sytuację w Niemczech.

Dawno zapowiadana burza rozpętać się może lada dzień nad zamkiem cesarskim Hohenzollernów. Lud, który wysłał do Izby 110 socjalistów, lud tak wytrwały i metodyczny, jak niemiecki, niełatwo zbić się da z tropu i z wytkniętej do końca linji opozycyjnej nie zejdzie.

Kto rozumie ducha współczesnej epoki, kto zmierzył siłę idei demokratycznej i ogarnął okiem zwycięski jej pochód poprzez najstarsze lądy świata — ten żadnych nie żywi wątpliwości co do wyniku walki.

Można się było obawiać, że wielka przewaga liczebna socjalizmu obciąży ją nadmiernym balastem oderwanych teorji skrajnych, lecz obawy te były płonne. Niedarmo pierwszy wniesiony przez lewicę wniosek żąda odpowiedzialności kanclerza i ministrów przed parlamentem, i choć ma niewielkie na razie widoki powodzenia, to jednak dość jasno wytyka właściwą drogę dzisiejszej opozycji. Jakoż przeistoczenie napoły feudalnej monarchji Hohenzollernów na państwo parlamentarne — wydaje się kwestją niedługiego czasu.

Olbrzymie znaczenie tego faktu zbyteczna chyba wskazywać. Dzisiejszy niemiecki system rządzenia wspiera się mocno i wyłącznie na żywiołach ultra - reakcyjnych; jest on w Europie — jeśli pominąć wschodnie jej przestrzenie — wyjątkiem zgoła archaicznym i srodze daje się we znaki całej części świata, przywalonej niezmiernym ciężarem militaryzmu i marynizmu.

Śmiało rzec można, że za sprawą Niemiec rozwój polityczny Europy opóźnił się o pół wieku.

Tedy wszystko, co powoduje upadek lub zmianę prusko niemieckiego systemu - - wychodzi na dobro ludzkości, wszystko zaś, co ten wypadek opóźnia — na jej niekorzyść.

Interes narodowy polski ściśle się tu wiąże z interesem ludzkości i kultury.

Dość spojrzeć, na jakich żywiołach opiera się niemiecki system rugów i szykan w Poznańskiem, dość widzieć go przy pracy na ziemiach polskich i wyczuć rozległe jego wpływy poza wschodnią granicą — by powziąć niezłomne przekonanie, że z chwilą jego upadku Polacy nic stracić nie mogą, a zyskać bardzo wiele.

Czy zdają sobie sprawę z tego miarodajni nasi politycy w Poznańskiem, a zwłaszcza przywódcy Koła?

Obawiać się trzeba, że nie. Jeśli nawet tu i owdzie pośród nich błyśnie idea ścisłego współdziałania z opozycją radykalną — to rychło zgasnąć musi pod mroźnym tchnieniem egoizmu dwóch ultra-zachowawczych kast, które dzierżą niepodzielnie w dłoniach ster polskiej polityki: wielkiej własności i kleru. Wśród poszczególnych ziemian i księży są niewątpliwie ofiarni i szczerzy patrjoci, ale

społecznie i materjalnie są te dwie sfery mocno sprzęgnięte z obecnym systemem reakcji, i gdy się widzi te ich na każdym kroku wydatną solidarność z ustrojem, który jest plagą naszego narodu i zmorą całej Europy — gdy się czyta i słyszy zawiłe ich wywody i nakazy trzymania z czarno-błękitnym blokiem rządowym w obliczu „rozkładowych w państwie elementów“ — można, niestety, z góry przewidzieć, że konserwatywni nasi posłowie odwrócą starodawne hasło i przy boku pana von Heydebranda walczyć będą do upadłego z a w ł a s n ą i c u d z ą n i e w o l ę.

A co najgorsze, że zanim w tej nierównej i niechlubnej walce w końcu ulegną, zaskarbić zdążą zrozumiałą i szczerą niechęć i nieufność demokracji niemieckiej i takową w spadku po sobie przekażą przyszłym polskim pokoleniom.

L. G.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

(Misja lorda Haldane'a w Berlinie.—Wojna czy pokój? — Koniec dynastji mandżurskiej).

Chwilę obecną uznał rząd angielski za odpowiednią do nawiązania raz jeszcze — może raz ostatni — próby trwałego porozumienia z Niemcami. Wślad za wyborami w Niemczech, które w sposób niezbity ujawniły wzrost wewnętrznej opozycji, odbyła się w Londynie trzygodzinna narada gabinetu, poczym lord Haldane, minister wojny, był na poufnym posłuchaniu u króla, który naradzał się też długo z Edwardem Greyem i lordem Lansdownem, b. ministrem spraw zagranicznych. Nazajutrz lord Haldane wyjechał do Berlina, gdzie znalazł się również admirał lord Karol Beresford i sir Ernest Cassel, wybitny finansista, mąż zaufania króla Edwarda. W ciągu dwóch dni niestrudzenie konferował lord Haldane z różnymi dygnitarzami niemieckimi, budząc niezmierną ciekawość prasy z powodu grubej tajemnicy, jaka otacza niezwykłą misję angielską. Według pewnych poszlak przypuszczać można, że wzamian za wstrzymanie dalszych uzbrojeń Anglja ofiarowała Niemcom pomoc w budowie kolei Bagdadzkiej i ułatwienie kupna rozległych kolonji portugalskich w Afryce Środkowej z dodatkiem [illegible] trują się Niemcy na te propozycje, które, mimo pojednawczych pozorów, mają formę i charakter jakiegoś półultimatum, bowiem jednocześnie angielski minister marynarki p. Winston Churchill wygłosił w Glasgowie mowę bardzo wojowniczej treści. Stwierdzając rosnące tempo zbrojeń na morzu głównie za sprawą Niemiec, minister zaznaczył z naciskiem, że Anglja nigdy wyprzedzić się nie da, że w razie potrzeby pomnoży siły swoje wielekroć, bo to, co dla państwa lądowego jest zbytkiem, dla niej jest nieodzowną potrzebą. Mocne te słowa wywarły w Niemczech spore wrażenie, przyczym część prasy niesłusznie oskarża rząd angielski o nielogiczność. Lord Haldane w Berlinie i Winston Churchill w Glasgowie uzupełniają się wzajem dokładnie: jeden pokazał Niemcom gałązkę oliwną, a drugi — pancerną pięść. Obaj rzekli- wybierajcie.

Wybór niełatwy, jeśli weźmiemy pod uwagę nawskroś militarny charakter państwa niemieckiego, które, doskonaląc bez przerwy swą machinę bojową w ciągu bez mała pół wieku, nie zechce chyba odrazu zwalić ją na bok jak stos bezużytecznego żelastwa. Potężny wzrost opozycji skłania również junkrów i biurokratów pruskich do tym silniejszego akcentowania strony wojskowej w państwie, jedynej gdzie mają bezsprzeczną rację bytu.

Bezpośrednio po misji lorda Haldane'a, antyniemiecki minister spraw zagranicznych sir Edward Grey otrzymał wysoki order, który mu toruje drogę do miejsca prezydjalnego w angielskiej radzie ministrów.

Gdy tak w Europie zbierają się chmury nad domem Hohenzollernów, w Azji runęła z trzaskiem dynastja cesarzów chińsko-mandżurskich, podkopywana przez największą w dziejach ludzkich konspirację. Po przewlekłych układach i targach, opuszczona przez wszystkich,

ECHA PRAWDY.

Po wyroku.

Przed tygodniem, pisząc o pociągnięciu Sądu Konsystorskiego, w osobie biskupa Ruszkiewicza, przed trybunał koronny, wyraziliśmy pogląd, że na ławie oskarżonych zasiadać powinien nie ten lub ów winowajca, ale błąd logiczny, któremu na imię: anachronizm.

Ofiarą tego anachronizmu, ofiarą starcia dwuch nawzajem wyłączających się praw, stał się biskup Ruszkiewicz, skazany wyrokiem sądu na rok i cztery miesiące twierdzy, tudzież na złożenie z urzędu.

W dziejach episkopatu warszawskiego, czyni uwagę *Kurjer Poranny*, — sam fakt skazania dostojnika kościelnego przez władzę świecką nie jest nowością. Ale nowe jest tło sprawy. Zarówno Zygmunt Szczęsny Feliński, jak Paweł Rzewuski, opuszczając stanowiska, opuszczali je w imię konfliktu, który w sprawie Ruszkiewicza słabym już tylko odbija się echem.

— W polskim języku prowadzono akta sprawy małżeńskiej — powtarza sobie opinja, usiłując dociec motywów surowości wyroku.

Niestety! opinja nie zdaje sobie sprawy z tego, jak szczupły zakres językowi ojczystemu wyznaczyła w sądach konsystorskich sama procedura kościelna. Badanie świadków oraz wzywanie stron oto maleńki skrawek, na którym wyłącznie ogniskowała się polszczyzna. Resztę korespondencji oblekano w łacinę.

Skazano biskupa?—Tak. Jako Polaka? — Być może: ale nie za to, że pracował dla sprawy narodowej. Trzeba to jasno sobie powiedzieć.

Dotychczas infułaci katoliccy denuncjowali do władz wolnomyślicieli i postępowców. Obecnie infułaci marjawiccy zaapelowali do ramienia tychże władz, probując biskupa Ruszkiewicza osadzić w tejże twierdzy, w której biskup Zdziłowiecki osadził Niemojewskiego. Jest to wojna wyznań, z której Europa wyrosła już przed 200 laty.

— Po takim wyroku nawet antyklerykał winien zmienić się w obrońcę kościoła! — rzekł ktoś na sali sądowej, dowiedziawszy się o skazaniu biskupa, a inni mu przytaknęli.

Ślepi ludzie! Jakże to? Więc przekonania wasze nabierają barwy w słońcu wyroków sądowych?

Dzieje grzechu księdza Kłopotowskiego.

Któż go nie zna? Któż nie zna P o l a k a - K a t o l i k a? kto nie słyszał o tym słudze bożym, który nie sieje ani orze, —tylko szkaluje, tylko bryz-

[illegible] u,ąc życie [illegible]ie, dynastja [illegible] się [illegible]czych [illegible] skiego. Akt abdykacyjny, ogłoszony d. 13 lutego, dzieli się na trzy części. Część pierwsza traktuje o warunkach ogólnych abdykacjii podyktowanej „troską“ rodziny cesarskiej o dobro kraju. Część druga zatwierdza ułożo[illegible] przez Juanszikaja wspólnie z rządem południowym [illegible]jekt praw i przywilejów, z których będą korzystali po abdykacji dynastji cesarz i członkowie rodziny cesarskiej, [illegible]raz Mandżurowie, Muzułmanie i Tybetańczycy.

[illegible] tytuł [illegible] rządu r[illegible] zamieszkać czasowo w pałacu Zimowym, później jednak powinien się przenieść do pałacu Letniego. Straż przyboczna pozostaje nadal przy cesarzu. Rząd republikański roztoczy opiekę nad świątyniami i grobowcami cesar[illegible]. Mauzoleum Huan-Siuna ma być ukończone, poczym zostaną przeniesione do niego zwłoki Huan-Siunia [illegible]ący urzędnicy dworscy zatrzymują swe stanowiska. Nowi eunuchowie nie mogą być mianowani. Osobiste [illegible]enie cesarza podlega specjalnej ochronie. Gwardja ce[illegible] będzie podlegać ministerjum wojny. Skład gwardji i [illegible]

Książęta mandżurscy otrzymają tytuły dziedziczne. Członkowie rodziny cesarskiej korzystają z tych wszystkich praw, z których korzystać będą wszyscy obywatele republiki chińskiej. Rząd zobowiązuje się ochraniać oso[illegible] majątek członków rodziny cesarskiej. Będą oni [illegible] od pełnienia służby wojskowej. Wszystkie narodowości korzystać będą z tych samych praw, które przy[illegible] będą Chińczykom. Mienie prywatne ochraniane [illegible] przez rząd. Książęta i rody wybitne zachowują dziedziczn[illegible] swe tytuły. Rząd zobowiązuje się wynaleźć środki na utrzymanie niezamożnych książąt i wybitnych [illegible]w. Wojska regularne będą korzystały z dotychczasowego uposażenia. Wszystkie ograniczenia w dziedzi[illegible] handlu, procederów i miejsca pobytu zostają zniesione. Wprowadzoną wreszcie zostaje wolność wyznania.

Oto [illegible]

...ski pozostał na swym miejscu, ale spełniać ma odtąd nową, niezwykłą rolę, chronienia państwa rosyjskiego od zalewu chińskich idei tudzież urządzeń postępowych.

W obronie demokracji.

2)

(Ciąg dalszy).

Twierdzenie, jakoby obywatel sprawował władzę zwierzchniczą jedynie w dniu wyborów do parlamentu, nie wytrzymuje, jak wyżej dowiedliśmy, krytyki; nie może też wobec świadectwa rzeczywistości ostać się zdanie tych, którzy wraz z Proudhonem utrzymują, że demokracja współczesna w najpostępowszych nawet państwach konstytucyjnych, w zasadzie niczym nie rożni się od demokracji, jaka rządziła w Attyce za czasów Peryklesa: podobnie jak w Atenach półmiljona niewolników dźwigało jarzmo pracy, gdy zaledwie 20 tysięcy wolnych obywateli zajmowało się sprawami rzeczypospolitej, tak dziś w każdym kraju miljony pracują, ażeby tysiąc, lub parę tysięcy ich przedstawicieli czuwało, a raczej udawało, że czuwa nad sprawami narodu.

Analogja z gruntu błędna! Rzeczywistość mówi nam co innego. Rzeczywistość dzisiejsza wskazuje, że każdy obywatel, ukończywszy pracę, jaka mu w udziale przypada, ma możność — a my powiemy nawet: ma obowiązek — zająć się sprawą publiczną, w ten sposób powstaje czynna kontrola nad wybranym ze strony wyborcy, kontrola nad posłem ze strony obywatela. Czego nie mogli czynić ongi niewolnicy, mogą dziś i powinni czynić ludzie wolni; ideał zaś demokracji polega właśnie na coraz szerszym zakreślaniu tej możności, przy jednoczesnym podnoszeniu warunków ekonomicznych społeczeństwa.

Oczywiście mamy tu na widoku państwa, w których konstytucjonalizm nie jest martwą literą, ale żywą treścią ustroju politycznego. U nas, w chwili obecnej, mowy niema nietylko o uczest-

ga jadem potwarczym, — a jednak świetne plony zbiera i lokuje w kasach?

Pociągany niemal co miesiąc do odpowie[illegible] karnej za oszczerstwa i kłamstwa, hojną rozsiewane dłonią przeciwko osobom niewinnym, zwyczaj tylko wspaniałomyślności pokrzywdzonym zawdzięcza — uniknięcie aresztu lub więzienia.

Z przed kratek sądowych, opuszczając ławę oskarżonych, wraca do kościoła i siada za kratą konfesjonału, aby rozgrzeszać sumienia bliźnich. Wobec kodeksu karnego — oszczerca: ale wobec kodeksu bożego — kapłan. Tam, w sądzie okręgowym, przestępca skazany na tydzień kozy. Tu, w konfesjonale, sędzia straszliwy, wyrokujący na całą wieczność o losach duszy ludzkiej...

Ha! ha! ha! Śmiejcie się wraz z nami!

Jak sądzicie, czytelnicy? Czy Wiktor Hugo, przysłowiowy mistrz antytezy, wysnułby z wyobraźni tak jaskrawy kontrast?

Ale słuchajcie dalej.

Ksiądz Ignacy Kłopotowski ma ojca — staruszka, mieszkającego na wsi, w Radziwiłowie. Niezdolny do pracy, starzec poniewiera się śród obcych, żyje w nędzy, tuła się od chaty do chaty; milczy zazwyczaj, ale czasem przez zaciśnięte usta wyrwie mu się jakieś słowo, niby skarga, niby jęk rezygnacji.

Ludzie wiejscy patrzą na biedę ojca, słyszą o dostatkach syna, słyszą o jego apostolskiej służbie i - nie rozumieją. Litują się doli starca, ale nie chcą potępiać syna — księdza który na czele gazety swej napisał: „Z Bogiem i z Narodem“.

W końcu jednak jęli się niepokoić gospodarze groźbą skutków, jakie pociągnąć może za sobą taki przykład na tle wiejskich patrjachalnych stosunków.

— Czyż dzieci nasze, patrząc, jak syn, kapłan i redaktor gazety katolickiej, obchodzi się z ojcem, nie zechcą iść jego śladem, nie odpłacą nam kiedyś za nasze trudy równą niewdzięcznością?

Jeden z gospodarzy p. Stanisław Słojewski pod naciskiem tych obaw wysłał list do redakcji *Zarania* z wyłuszczeniem krzywdy ojcowskiej i prośbą o radę, jak zapobiec zgorszeniu.

Redakcja *Zarania* list otrzymawszy, z uwagi na osobisty charakter sprawy, poufnie zakomunikowała treść jego ks. Ignacemu Kłopotowskiemu, w nadziei że ten nie omieszka troskliwiej zaopiekować się ojcem, choćby przez wzgląd na opinję ludu.

Aliści skutek był nieoczekiwany.

Ks. Kłopotowski nie omieszkał wprawdzie wyrazić podziękowania redakcji *Zarania* za jej szlachetną dyskrecję, w najbliższym jednak n-rze swego *Polaka-Katolika*, pod adresem p. Słojew-

nictwie obywateli w rządzie, ale o prostym zabezpieczeniu ich nietykalności przed samowolą organów biurokratycznych. Ale właśnie chodzi nam o wskazanie, że do osiągnięcia i ugruntowania konstytucjonalizmu dążyć winniśmy wszystkimi siłami, jako do wyższej fazy rozwoju i doskonalszej formy współżycia, oraz że parlamentaryzm prawdziwy oprzeć się może tylko na szerokiej podstawie demokratycznej. Ci zatym, którzy w naszych warunkach, zniesławiają demokrację i jej wykwit polityczny — parlamentaryzm, stawią na drodze rozwoju naszego tamę szkodliwą i niedorzeczną. Gdy nam tu braknie poprostu powietrza i dusić się musimy w ucisku, ideolodzy syndykalizmu, na grunt krajowy przeszczepieni, zagradzają nam drogę, broniąc wstępu na otwartą przestrzeń, i tłomaczą, że swoboda i powietrze jest dobrem względnym, niegodnym pożądania, gdyż nie poi, jak woda, i nie karmi, jak chleb.

— Tak! — odpowiemy: ale pozwala oddychać!

W państwach zachodnio-europejskich wytwórca, odczuwający w pełni godność swej pracy, wysoko zarazem ceni wartość rękojmi prawnych, które mu demokracja przyznaje. Miast zamykać się w ciasnych kręgach swego zawodu, myśl jego skrzydła rozwija do objęcia szerszych spraw, zastanawiając się nad udoskonaleniem organizacji panującej, celem zapewnienia wszystkim słuszniejszego wymiaru w wynagradzaniu pracy. W ten sposób, stajemy się świadkami procesu, w którym, mocą konieczności wewnętrznej, interes polityczny wyrasta z interesu zawodowego: oba pojęcia wzajemnie się dopełniają; interes polityczny staje na przedłużeniu interesu zawodowego. Wszelka działalność polityczna w świetle powyższym staje się działalnością zawodową, szerzej i głębiej pojętą.

Przed oczyma demokracji, polityka odsłania się, jako uwieńczenie wszystkich zawodów, jako jeden ze środków, za których pomocą wytwórca z zamkniętego kręgu swej specjalności podnosi się do poziomu spraw o charakterze powszechnym. Wtórym środkiem jest nauka, pozwalająca wytwórcy zrozumieć technikę swego zawodu oraz posiąść ducha tudzież istotę panujących praw. „Wytwórczość świadoma siebie i sumienna bywa źródłem dwóch bliźnich namiętności, zamiłowania nauki i zamiłowania prawa: dzięki nauce dochodzi ona do zrozumienia siebie; dzięki prawu nabiera szacunku dla siebie i nakazuje szacunek innym. Otóż umiłowanie prawa, w znaczeniu szlachetniejszym, opiera się na pojęciu polityki, będącej obwarowaniem i uszczytnieniem pracy[1]).“

(C. d. n.) *St Romanowski.*

[1]) Georges Guy-Grand: „Le procès de la démocratie“, str. 141.

Listy z Galicji.

III.

Zastój w sprawie reformy wyborczej.

Rokowania polsko-ruskie, w sprawie reformy wyborczej rwą się ciągle i wznawiają, a czas leci. Już sama reforma wyborcza jest sprawą dość skomplikowaną, którą nie należałoby komplikować z innymi; tymczasem większość polska zupełnie niepotrzebnie związała ją z reformą administracyjną, oraz z rozszerzeniem autonomji. Konserwatyści są wprost nienasyceni. Stronnictwa ruskie godzą się na częściowe rozszerzenie autonomji, w granicach tego co już uznał parlament centralny. Dalsze i wszechstronne rozszerzenie jej mogłoby być wynikiem nie ugody częściowej, przeprowadzonej przy reformie wyborczej, lecz całkowitej, obejmującej całokształt stosunków narodowościowych w Galicji.

Obecnie sprawa stoi tak, że głównym punktem spornym jest sprawa zabezpieczenia mandatów mniejszości narodowościowych.

---

skiego zamieścił tego rodzaju inwektywę, ubraną w formę „odpowiedzi od redakcji“:

— Rodzina Słojewskich z Radziwiłowa ma w lesie Radziwiłowskim pomnik dla siebie z napisem: tu brat brata zabił; właśnie Słojewski Słojewskiego zabił. Tacy zaraniarze jak Stanisław Słojewski, zaszczytu *Zaraniu* nie robią“

Jakiż sens tej insynuacji, sprytnie skonstruowanej? Oto, każdy domyśleć się z niej musi, że że p. Stanisław Słojewski, który w obronie sponiewieranego ojca wystąpił i opieki dłań żądał ze strony syna, jest mordercą swego brata; że jego to zbrodni pomnik stoi w lesie Radziwiłłowskim.

Tak też pojęli słowa ks. Kłopotowskiego czytelnicy *Polaka-Katolika*.

A jak przedstawia się rzeczywistość?

Oto gdzieś w lasach stoi istotnie pomnik, być może związany z nazwiskiem Słojewskich, ale nie mający, żadnego związku z rodziną pana Stanisława Słojewskiego, przedpłacającego *Zaranie*. Nie zabijał on brata. Nie był nigdy pod sądem. Słynie jako człowiek spokojny i stateczny.

Wobec plamy, rzuconej na cześć całej rodziny, p. Słojewski zmuszony się uczuł wystąpić ze skargą o potwarz. Sędzia śledczy wziął sprawę w ręce i snać dojrzał w niej wyraźne elementy przestępstwa, wezwał bowiem oskarżonego, celem spisania protokółu. Jak zwykle w tych razach, stronom zaproponowano zakończenie sprawy w drodze pojednania.

Pan Słojewski przystawał na zgodę, żądał tylko odwołania potwarzy w tymże organie. Ksiądz wahał się; w końcu poprosił o tydzień zwłoki do namysłu.

Przez ów tydzień nie tracił „sługa boży“ czasu; posiedemkroć przewertował kodeks karny, ważąc w myśli karę, która go minąć nie mogła.

Widząc, że muru kodeksowego nie przebije głową, postanowił przebić go pokorą.

Idzie tedy do sądu i zgłasza swą chęć odwołania kłamstwa. Obecny przytym p. Słojewski przyjmuje zgodę księdza. Chodzi już tylko o zredagowanie tekstu zadośćuczynienia.

Ks. Kłopotowski siada i pisze własnoręcznie

— *Zamieszczone... wiadomości nieprawdziwe... uwłaczające czci, niniejszym odwołuję i publicznie... przepraszam...*

— A podpis? — pyta p. Słojewski.

— Podpisano: „Redakcja“.

— A pocóż paskudzić całą redakcję? — oponuje pan S. — Przecież, o ile wiem, to sam redaktor-jegomość pisał to bezeceństwo, niechże tedy sam odwagę ma odwołać.

Ksiądz Kłopotowski oburzył się. Wtym wzrok jego padł ponownie na kodeks, groźnie

Większość stronnictw polskich nie ma jeszcze, pod tym względem określonych poglądów. To tylko powiedzieć można że 3 mandatowe okręgi prof. Stażyńskiego nie mają zwolenników po za jego klubem (środka) oraz narodowymi demokratami. Rusini domagają się jedno—mandatowych okręgów. Niektóre stronnictwa polskie skłaniają się do tego (ludowcy i demokraci.) Konserwatyści pragną 2 mandatowych okręgów, licząc na to [illegible] łatwiej im będzie przeforsować swoich kandydatów.

Skronnictwa polskie chcą obecnie odroczyć swoją odpowiedź w tej sprawie aż do przestudjowania odpowiedniego materjału statystycznego, co wymaga czasu. Rusini widzą w tym chęć przeciągnięcia sprawy, Zdaniem ich, gdyby Polacy teraz dali im odpowiednie zabezpieczenia w tej sprawie, wówczas kwestja ilości mandatów zeszłaby na plan drugi.

Prezes Biliński, namiestnik Bobrzyński i marszałek Badeni robią wszystko co mogą, aby ugodę przeprowadzić i całą sprawę prowadzą taktownie i rozważnie.

Nie ulega wątpliwości, że żądania Rusinów, są słuszne. Niestety jednak, w polityce nie sama słuszność rozstrzyga. Wchodzi ta w grę przedewszystkim ogólna sytuacja polityczna w Austrji, a nawet międzynarodowa, odgrywają też pewną rolę i ludzie stojący na wysokich stanowiskach.

O ile nastąpi, a zdaje się że tak będzie, zbliżenie Austrji z Rosją, to okoliczność ta nie wpłynie korzystnie na poparcie żądań ruskich przez rząd centralny. Z drugiej strony, odwlekanie ugody na później, kiedy zajść mogą zmiany w osobach choćby częściowo tylko na stanowiskach najwyższych w kraju i w Kole Polskim jest ryzykowne i dla Rusinów niekorzystne, są to okoliczności które politycy ruscy wziąć powinni pod uwagę. Dlatego też sądzę, że w dobrze zrozumiałym interesie stron obu z ugodą należy się spieszyć. Sejm będzie pewno koło 15 lutego odroczony.

Ludwik Kulczycki.

Przyrodoznawstwo czy Humanizm?

(Dokończenie).

Języki starożytne, dzięki bogactwu składni ze szczególnym pożytkiem służyć mogą za materjał do owych ćwiczeń. Zresztą, języki nowożytne od szeregu lat w szkołach wykładane bywają t. zw. *metodą bezpośrednią*, którą zalecają nader szybkie wyniki praktyczne. Skuteczności metody tej kwestjonować niepodobna, trudno atoli nie zauważyć, że z chwilą jej upowszechnienia, języki nowożytne nie mogą w wykształceniu młodzieży pełnić tej roli, jaką pełniły języki martwe.

To zaś jednocześnie świadczy, jak niedorzeczne byłyby wszelkie próby zastosowania *metody bezpośredniej* do łaciny, wszak języka łacińkiego uczymy się nie po to, by mówić po łacinie; uczyć go się należy dla tych korzyści, jakie daje sam proces jego poznawania, ponieważ proces ten jest areną dla gimnastyki myślowej, niezbędnej i pożytecznej na polu badań odkrywczych, dla pracy naukowej.

Czy jednak owa arena dla gimnastyki umysłowej, jaką dają studja klasyczne, jest w istocie niezbędna? w istocie niezastąpiona niczym? Rozumie się, iż młodzieniec zamierzający się poświęcić badaniom geometrycznym, pilnie pracować winien nad rozwinięciem w sobie zmysłu analitycznego: ale, zapytać się godzi, czyli zdolności analityczne tylko na terenie studjów literackich wzrosnąć i wykształcić się mogą? Czy nie byłoby rzeczą bardziej celową, i rzeczą nierównie prostszą, zaprawiać zdolności owe na tym materjale, z którym w przyszłości stale mieć będą do czynienia, t. j. na liczbach, na ilościach, na figurach? Postępując w ten sposób, młodzieniec snadnie pokona późniejsze trudności, związane z pełnym rozumieniem języka naukowego; trudności owe wydadzą mu się igraszką, ponieważ do rozwiązania

rozwarty przed nim jak drzwi więzienia. Otarł pot z czoła. Podpisał.

Czegóż bo się nie robi w imię sprawiedliwości!

Pretendenci.

(Fraszka).

Zjechali się na naradę
Portugalscy pretendenci,
Pełni jaknajlepszych chęci,
By o tron zakończyć zwadę,
Który choć obydwóch nęci,
Jednak, jeden tylko z nich
Może wdziać królewski szych...
Bowiem chciało tak zdarzenie,
Że tron jedno ma siedzenie...

Który z nich ma zasiąść na nim:
Czy don Miguel czy Manuel?
Trzeba raz zakończyć duel,
Który wcale nie jest tanim,
Gdyż, prócz tego, że jest cruel,
Rewolucję broni zgnieść!
Wszak król także musi jeść,
A tu trudność oczywista:
Bo gdzież jest cywilna lista?

Pretendenci długo radzą,
Aż Braganza tak powiada:
— Zmierzmy to, na czym się siada
— Ten kto szerszy, — będzie władzą!
Manelowi nie w smak rada:
— Przecież widzi drogi stryj,
Żem jest cienki jakby kij!
— Gdybym był jak papcio gruby
Śmiało stanąłbym do próby! —

Ktoś im radził zmierzyć głowy...
Lecz się słusznie obrazili:
— Także głupstwa! W takiej chwili!
.. Wtem, z grobowej swej okowy
Stary przodków sługa, czyli
Ex-minister, Pombal, wstał
I rzekł: — Taki ma być dział:
— Weźmie władzę pod golenie
Ten, kto szersze ma — kieszenie!

Mir.

Dlaczego konkurs na obraz historyczny się nie udał?

Konkurs na obraz historyczny nie dał ani jednego żywego dzieła. Jest może kilka niezłych obrazów, lecz w żadnym niema ducha ani tchnienia historji.

ich wystarczą mu w zupełności uprzednio nabyte środki analizy. Rzeczywiście, w ten sposób radzi sobie uczeń lub student matematyki, który nie ma poza sobą przygotowania klasycznego. Przystępuje on do warsztatu nauki ze znajomością języka jedynie połowiczną, wahającą się między grubą umiejętnością dziecka, ujmującego całe zdanie w masie, a wytrawną znajomością umysłu, rozpoznającego w zdaniu wszystkie sprężyny, składniki i związki.

Ta znajomość połowiczna może mu wystarczać na początku, pod warunkiem lekkiego prześlizgnięcia się po zasadach podstawowych, będących najdrażliwszą częścią w układzie każdej nauki. Zasady podstawowe przyjmuje on wówczas dogmatycznie, jako artykuły wiary, obiecując sobie wrócić do nich w następstwie, skoro tylko wzmoże się na siłach. Ćwiczy tedy swe władze rozumowe w obrębie matematyki, w jej granicach zaprawia się do analizy; zdania, które zrazu przedstawiały się oczom jego tajemniczo, powoli się rozjaśniają: oko jego przyzwyczaja się do postrzegania szczegółów, dotychczas niewidocznych, ale wszystko to — za cenę jakiegoż mozołu?!

Pojęcia, którymi posługuje się matematyka, bywają niesłychanie abstrakcyjne, to znaczy, stanowią wynik daleko idących opracowań, klasyfikacji, przeistoczeń, umów. Wobec tego, jest rzeczą wskazaną, rozpoczynać od pytań prostszych, łatwiejszych, odkładając analizę głębszą na potym, gdy skończymy z analizą bezpośrednią. Formy słowne, będące niejako obsłonkami pojęć, mają w sobie niezaprzeczony pierwiastek konkretności; dzięki jemu, są one mniej odpychające dla dzieci, mogących oswajać się z nimi w takim wieku, kiedy matematyka bywa dla nich zgoła niedostępna. Z chwilą, gdy żołądek ich dojrzeje do trawienia, pokarm, który im się poda, będzie już niejako pogryziony. Oczywiście, bywają ludzie o żołądkach żelaznych, którzy trawić potrafią bez gryzienia; niemniej, jednak, nie tracą przez to znaczenia rady hygienistów, którzy zawsze zalecać będą, aby gryźć sumiennie.

Poincaré, sam będąc matematykiem, nieco przydługo rozwodzi się nad przykładem matematyka. Nastręcza się pytanie, w jakiej mierze uwagi jego zastosować się dadzą do fizyka, chemika, biologa? Odpowiedź prosta: stosować je należy ściśle w takiej mierze, w jakiej uczeni ci być muszą matematykami.

Biolog, w ogólności, mało czuje sympatji dla wiedzy matematycznej, niekiedy nawet nauki ściste budzą w nim nieufność. Owe czyste formy geometryczne, które bada matematyka, wydają mu się puste, bezbarwne, wywołują w nim nudę śmiertelną i zniechęcenie. A jednak istnieje pewne minimum zmysłu matematycznego, bez którego obejść się nie może żaden uczony, to jest zmysł analizy, pozwalający nam przedmioty rozkładać na pierwiastki, te zaś oddzielać od siebie i wyodrębniać.

Owego zmysłu analitycznego biolog, oczywiście, nie będzie ćwiczył przez studja matematyczne, skoro matematyka jest dlań czymś tak odpychającym, jak dla literata wszystkie wogóle nauki ściste. I w rzeczy samej, biolog nie ma potrzeby posuwać swych władz analitycznych do sprawności takiej, jak geometra. Może on doskonale poprzestać na ćwiczeniach gramatycznych, na badaniu porównawczym języków, które to studja, dając dostateczne pole dla gimnastyki umysłu, nie będą jednocześnie razić jego smaku, ponieważ przedmiot badania nie jest tu tak doszczętnie wyzuty z barwy, kształtu i z życia. Język, podobnie, jak gatunki roślinne i zwierzęce, podlegają ewolucji, rozwijają się, żyją; słowa posiadają swą historję; powstają, przechodzą zmiany, giną; w wyrazie francuskim lub włoskim widnieją ślady wyrazu łacińskiego, od którego pochodzą, podobnie jak w człowieku dostrzegamy ślady pochodzenia od przodka zwierzęcego. Oblicza zewnętrzne wyrazów mogły ulec zmianie, lecz wprawne oko językoznawcy potrafi oprzeć się złudzeniu i poprzez po-

Konkurs zaświadczył, że wśród naszych malarzy niema człowieka, który czuje historję. Niema go również wśród innych artystów, niema go wśród literatów.

Przeważa wśród twórczości współczesnej w malarstwie — studjum portretowe lub natury, zakątka natury, w którym malarz koi swą tęsknotę liryczną, nasyca swą miękkość, potrzebę pieszczoty, ocierania się o przedmioty jedwabne, czułe lub smętne.

To samo jest w literaturze. Nowele stękające, ironiczne lub pieszczotliwe. Powieści napełnione gadulstwem, właściwie szeregi nowel, nanizane na długi sznurek powieściowy. Wszędzie — przewaga liryzmu i miękkości. Już to jest wielką rzeczą, jeżeli liryzm nie pieje fałszywie.

Niepodobna czuć historji, jeżeli się nie czuje piękności tragizmu i grozy, jeżeli się jest lirykiem, który szuka wszędzie miękkiego wezgłowia dla swej głowy skołatanej, słowem: jeżeli ideałem staje się nie energja, lecz sen...

Warunki niezbędne do napisania utworu historycznego lub namalowania obrazu historycznego to zupełna zmiana upodobań: zamiast zakątka — bezmiar, zamiast miękkości — prężność. (I wiele innych, naprzykład — umiejętność wznoszenia się wysoko i ogarniania, pewien duchowy patos i zdolność zarażania się impulsami momentu historycznego).

Jakikolwiek obraz naprawdę historyczny stanie przed oczyma — zawsze bije od niego groza czy to zjawiska uroczystego i pięknego, które przeminęło, czy tytanicznego lub krwawego trudu, który naród musiał podjąć w obronie swego ducha (np. Bitwa pod Grunwaldem).

To poczucie piękności najwyższego napięcia sił, najwyższej, zbiorowej okazałości zawsze rzadkie, tem rzadsze jest dziś u malarzy, że ci, jak nam się zdaje, poświęcają teraz całą swą pilność i zdolność na zgłębianie tajemnic różnych technik malarskich.

Być może, że technikę mają wyborną, lecz, kiedy chcą być historykami, zdobywają się ledwie na zimne kronikarstwo.

Zresztą obraz historyczny trudniej dziś w Polsce malować, niż kiedykolwiek. Pochodzi to stąd, że z pod stóp okazałej Polski historyczno-katolickiej dźwiga się obecnie inna postać: Polski heretyckiej i wolnomyślnej. I może lepiej poczekać, aż się podźwignie — dzięki pracom bezstronnych badaczy, zmieniając wizję artystyczną naszego tragizmu historycznego.



wlokę zwierzchnią sięgnąć do rdzenia. Podobnież zadanie biologa polega na tym, aby pod osłoną odmian gatunkowych rozeznać zasadniczy typ zoologiczny.

A przytym dodać należy, że studja literackie, należycie zorganizowane, stać się mogą pożyteczną szkołą obserwacji. Poeci bowiem bywają doskonałymi postrzegaczami; ci z pośród nich, którzy godni są swego imienia, nie używają epitetów na ślepo, ale zapisują to, co widzieli.

Wreszcie, dotyka Poincare pozycji najważniejszej. Humanizm, — powiada on,—odrywa nas od tego, co ma znaczenie względne i chwilowe, uczy zaś dążyć do tego, co jest powszechne, ogólno ludzkie, dążyć — do ideału Ci, którzy pili ze zdroju jego wiedzy, już nie potrafią widnokręgów swych ograniczyć; życie zewnętrzne nastręczać im będzie tysiące drobnych trosk powszednich, ale oni słuchać ich będą tylko na poły, wyrywając się całą resztą ducha gdzieindziej, dokąd ich nostalgja szybować będzie, rojąc ojczyznę wyższą, doskonalszą.. I tu kryje się najpoważniejsze niebezpieczeństwo dla interesu społecznego ze strony klasycyzmu, stąd wyrasta najgroźniejszy przeciwko niemu zarzut. Jeżeli bowiem jest dla dobra kraju rzeczą pożądaną aby dziewięciu ludzi—na dziesięciu, stało się dobrymi kupcami, przemysłowcami, ludźmi praktyki i rzemiosła, to niebezpiecznie byłoby zrażać ich z góry do zawodu, który ich życie wypełni. Zarzut powyższy, w każdym społeczeństwie mający swą doniosłość, osobliwego znaczenia nabiera w Polsce, gdzie naogół wśród ludzi mało rozwinięty jest zmysł dla rzeczywistości, dla skrzętnej zabiegliwej pracy, gdzie natomiast wszystkie zainteresowania ogółu mkną w kierunku zagadnień ideologicznych, fantasmagorji socjalnych, utopji politycznych i mitów narodowych. W Polsce ten zarzut jest nie do obalenia. Ale też nie naszym jest zadaniem — jego obalenie. Cel rozważań naszych jest inny. Za cel postawiliśmy sobie rozważenie studjów klasycznych, jako dzscypliny i metody kształcenia umysłów oraz przygotowywania do pracy naukowej.

W tym zaś obrębie rozważań nie może być dwóch zdań. Wraz z Poincare'm zgodzić się musimy, że uczony nie powinien powodować się rachubami praktycznymi; praca jego przyniesie niezawodnie owoce praktyczne, ale trzeba, aby przyniosła je —w dodatku. Uczony nie powinien zapominać nigdy, iż przedmiot poszczególny, którym się zajmuje, jest tylko częścią wielkiego zespołu, który go przerasta niepomiernie: ciekawość oraz ukochanie tego wielkiego zespołu, powinny być jedyną pochodnią jego działalności. Nauka znalazła cudowne zastosowania; wszelako nauka, mająca jedynie zastosowania praktyczne na celu, nie byłaby już nauką, stałaby się — kuchnią. Niema nauki poza nauką — bezinteresowną.

Trzeba wspinać się coraz wyżej i wyżej, nie ustając w drodze, aby coraz szersze widnokresy ogarniać. Śmiały wędrowiec, prawdziwy syn gór, patrzeć będzie zawsze na szczyt, na którym stanął, jako na stopień, po którym wzejdzie na szczyt wyższy. Uczony, podobnież, winien mieć skrzydlatą stopę górala, a zwłaszcza, serce skrzydlate górala. Pęd wyżyn powinien go ożywiać. Ten pęd wyżynny ongi wionął nad Grecją starożytną, powołując do życia poetów i myślicieli. W piśmiennictwie starożytnym spoczęła nieśmiertelna iskra tego pędu, iskra dawnej duszy greckiej, żywioł nieuskromionego lotu ku szczytom. Ów to właśnie żywioł sprzyja potężniej rozwojowi myśli uczonego, niżli zgłębianie całego zbioru dociekań geometrycznych, matematycznych, przyrodoznawczych, zresztą dociekań jakichkolwiek z zakresu nauk ścisłych.

J. Pomirski.

Gustaw Olechowski.

FETYSZ.

(Dokończenie).

W sali było milczenie, tylko nieśmiały szept: waryat, waryat, kłócił spokój. Sędziowie przysięgli oddalili się na naradę, a po krótkiej przerwie wynieśli wyrok: Mister Vivien Dollar jest winien zbrodni fałszerstwa i zabójstwa, ale jest niepoczytalny, obłąkany i degenerat. — Poleca się oddać go do szpitala waryatów aż do śmierci,—lub wyzdrowienia. W razie wyzdrowienia puścić go na wolność.

W ten sposób nieszczęsny Vivien Dollar znalazł się w domu psychicznego niezdrowia, dla dokończenia niezacnego jeszcze życia a w dodatku z pieczęcią zbrodniarza, fałszerza i moral insanity.

Zupełna samotność, w jakiej spędzał teraz dni i noce, dała mu czas do wmyślenia się w swe życie. Analizował długo wszystkie swoje dni i nie znalazł ani jednego, któryby był splamiony czynem nieuczciwym, brudnym. Prawda, że był rozrzutnikiem, ale wszak pieniądze były jego i nikt krzywdy z tego powodu nie poniósł, przeciwnie — masa ludzi porobiła przy nim majątki i błogosławi go dziś.

Powoli doszedł do przekonania o doskonałości ohydy obecnego ustroju społecznego, gdzie człowiek nie winien nic nikomu może przejść taką gehennę, jaką przeszedł on podczas sprawy, że może być skazany na śmierć powolną ze stygmatem zbrodniarza na czole, że może być wydany na pastwę znęcających się nad nim szakali ludzkich, dumnie noszących obok niego swe instynkta zwierzęce.

Lecz skoro jest tak, to nic łatwiejszego, jak wyleczyć się z tego bzika, o którego go wszyscy posądzają, nic łatwiejszego, jak wyjść z tego więzienia warjatów i zyskać na nowo stanowisko wśród cywilizowanego społeczeństwa. Prosta konsekwencja:

Skoro bzik jego polegał na uczciwości i prawdzie, to należy teraz symulować z powodzeniem łajdaka i kłamcę, a wówczas ludzie pozwolą żyć między sobą.

Jak się rzekło—Vivien szybko się decydował.

Pewnego dnia, gdy go odwiedził naczelny lekarz zakładu—Vivien poprowadził z nim taką konwersację:

— Wiesz, doktór, czytałem wczoraj w gazecie ciekawą rzecz.

— Naprzykład.

— Otwiera się nowe pole eksploatacji w Con-

BADANIA NAUKOWE.

Aleksander Świętochowski: „Źródła moralności".

2)

(Dokończenie).

Moralność normatywna (etyka) powinna tedy opierać się na etologji (nauce o obyczajach) tak samo, jak medycyna lub higjena opiera się na fizjologji. Tą jedynie drogą zdołamy się wznieść z chaosu, jaki zalegał do niedawna dziedzinę moralności, na poziom moralności pozytywnej. Droga ta jest tym samym szlakiem, na którym dokonała się ewolucja techniki nowoczesnej, doskonalącej się i potężniejącej krok za krokiem w miarę rozrostu nauk pozytywnych, które służą za podkład sztukom użytkowym.

Wszystkie zatym systemy etyczne, które nam dotąd przedkładano, przypominają, niezawodnie, owe dawne sztuki empiryczne, powstałe i utrzymujące się przed pozytywnym ustaleniem się wiedzy umiejętnej, tej wiedzy, która w ciągu ostatnich trzech stuleci zmieniła sztuki empiryczne w sztuki rozumowane Owe mniemane systemy moralności, wobec naszej działalności społecznej, pozostają w takim stosunku, w jakim rojenia magów chaldejskich, wiara kapłanów egipskich, lub spekulacje pitagorejczyków pozostawały względem liczb; w jakim zabiegi alchemików pozostają względem przemysłu szklanego lub metalurgicznego

W obliczu współczesnych badań naukowych, niewzruszone, rzekomo wieczne, systematy moralne, opierane na zasadach z góry powziętych, niedowiedzionych i niesprawdzalnych, skazane zostały na zagładę, tak samo, jak dawne systemy lecznictwa, oparte na poszukiwaniu eliksiru życia, lub dawne zabiegi alchemji, usilującej wytapiać złoto ze zgęszczonych promieni słonecznych.

Chcąc nie chcąc, musimy pogodzić się z losem, który nam nie pozwala wzbić się wyżej ponad własną głowę. Wzamian, miast jałowych spekulacji, zaprzątających dotąd umysły filozofów, pozyskamy środki, ograniczone, to prawda, ale potężniejące z dnia na dzień i do rozwoju zdolne, środki, które dadzą nam możność udoskonalenia obyczajów ludzkich oraz stosunków społecznych

„Postęp i rozwój rozumowanej sztuki moralnej zależeć będzie ściśle, — powiada Levy-Bruhl [1]) od rozwoju i postępów nauki o obyczajach Im dokładniej i szerzej poznamy rzeczywistość moralną i społeczną, tym więcej z poznania naszego wysnuć będziemy mogli korzystnych zastosowań w praktyce W chwili obecnej, oczywiście, trudno jeszcze jest wdawać się w szczegóły. Nie mamy prawa przypuszczać, że zdobycze na obu polach, teorji oraz pratkyki, — iść będą równolegle. Być może, nauka badająca zjawiska moralne, stawiąca dziś pierwsze kroki, przejść będzie musiała przez pewien okres, mniej lub więcej długi, w którym wyniki teoretyczne znajdą bardzo szczupłe zastosowanie, lub go nie znajdą wcale. Mechanika stała się sztuką rozumowaną dopiero od trzech stuleci; być może, upłyną dwa lub trzy stulecia jeszcze, zanim medycyna wstąpi na tę samą drogę i osiągnie równy stopień sprawności; a przecież wysiłki myśli teoretycznej celem poznania praw przyrody fizycznej, od których obie sztuki te zależą, sięgają swym początkiem starożytności greckiej. Nic nie upoważnia nas do nadziei, że w zakresie zjawisk przyrody moralnej, okres zastosowań praktycznych rozpocznie się jednocześnie z okresem badań poznawczych".

Lecz jeśli „sztuka moralna" zużytkowywająca wyniki etologji dla celów praktycznych, ustalić się może dopiero w odległej przyszłości, to rodzi się niepokojące pytanie, czym kierować się mamy

[1]) „La morale et la science des moeurs" — str. 102. Alcan editeur, Paris.

go belgijskiem w Afryce. Zbudowano tam mianowicie kolej od Bomy t. j. od oceanu prawie — w głąb kraju przez Matadi do Leopoldville aż do najbogatrzych w świecie lasów kauczukowych, które rząd tamtejszy oddaje darmo prawie na eksploatację, gdyż naprzód chodzi o dostarczanie kolei i okrętom transportów, dalej o kauczuk na potrzeby całego świata, a zwłaszcza o kolonizację. Otóż przyszła mi taka myśl, że tam w krótkim czasie można zrobić miljony bardzo małymi środkami; ja mam jakiś parę tysięcy dolarów, możebyś doktór wszedł do spółki ze mną, uwolnił mnie z zakładu, dając świadectwo, że wyzdrowiałem na umyśle, ja bym pojechał do Afryki, wydzierżawił lasy i zbierał kauczuk. Zyski do połowy. Pieniędzy dużo nie trzeba, gdyż robotnika płacić nie będziemy. Wprawdzie potrzeba do tego tysięcy rąk murzyńskich, ale ja najmę tylko kilku ludzi naszych, uzbroję ich w mauzery i pod groźbą śmierci zmusimy wsie okoliczne murzynów do pracy. Kto nie wyjdzie do roboty — ten dostanie w łeb. Zobaczysz doktór, że za parę lat będziemy mieli dziesiątki miljonów. Tak robią tam wszyscy koloniści. Mordują murzynów, ale mają kauczuk.

Naczelny lekarz był zachwycony. Zaraportował niezwłocznie do prokuratoryi, że oddany mu pod dozór skazaniec Vivien Dollar daje dowody zupełnego wyzdrowienia zarówno z ciężkiej choroby moral insanity, jak niepoczytalności umysłowej, że chce wyjechać z kraju, i że on lekarz, nie znajduje żadnych ku temu przeszkód.

Wkrótce też z prokuratoryi przyszła absolucja, nowi wspólnicy zawarli piśmienną prywatną umowę, lekarz wręczył Vivienowi umówioną niewielką sumę kilku tysięcy. wierząc w jego dziedziczne zdolności kupieckie i — Vivien — fałszerz, zbrodniarz i warjat notoryczny pojechał do Conga.

Skończywszy symulację łotrowstwa przed doktorem, Vivien się oblekł w dawną uczciwość i zdrowy rozsądek i eksploatację kauczuku prowadził w zgoła odmienny sposób, niż to robili inni plantatorowie. Do murzynów nie strzelał, wódką ich nie rozpijał, murzynek nie gwałcił, natomiast płacił im dobrze, karmił jeszcze lepiej. zbudował im baraki, szpital, ochrony. Ale to wszystko skrył przed wspólnikiem. Przeciwnie nawet, symulował dalej przed nim krwiożerczego plantatora, o czem wieść szła dalej. Czarni robotnicy ze zdwojoną wydajnością pracowali u Viviena, tak, że po latach kilku Vivien wrócił do Stanów, jako bardzo gruba ryba, nieomal z dawnym swym majątkiem, wzbogaciwszy jednocześnie swego wspólnika.

Ale wrócił smutny, bo postanowił dokonać ostatecznej próby, czy świństwo ludzkie ma jakąś granicę, czy nie ma żadnej. Doświadczał ludzi jako miljoner, jako oskarżony, jako biedak, jako warjat i coraz bardziej czuł się światu obcym i ana-

tymczasem, za jakimi iść wskazaniami w swej działalności, zanim drogowskazy nauki wytkną jej kierunek? Czyliż nie zostaniemy skazani w ten sposób na bezczynność lub anarchję na przeciąg nieograniczonego okresu? —

— Bynajmniej! odpowiada Levy-Bruhl; tam, gdzie dotychczas nie kieruje naszym działaniem nauka, a gdzie jednakowoż działać musimy, trzeba wybierać to postanowienie, które dziś wydaje się nam najrozumniejszym, wedle dotychczasowego doświadczenia i dotychczasowej wiedzy. Zdrowy rozum poddaje nam radę, siła rzeczy narzuca nam wybór. Wszakże i obecnie w tysiącach wypadków zmuszeni jesteśmy w ten sposób rozstrzygać wątpliwości, co do kierunku i wyboru działania. Czyż medycyna dzisiejsza w wielu przypadłościach nie kieruje się prostymi przypuszczeniami, zalecając środki empiryczne, które, z mniejszym lub większym skutkiem, stosowano w okolicznościach, mniej lub więcej, podobnych?

Prócz zarzutu powyższego, który, jak widzimy nie wytrzymuje krytyki, obrońcy tradycyjnego pojmowania moralności, jako spekulacji dedukcyjnie określającej hierarchię obowiązków, przeciwstawiają „etologji" równie jak mającej wesprzeć się na niej „rozumowanej sztuce moralnej" zarzut jeszcze jeden, będący typowym okazem przeszkód, jakie nałóg i bezwład myślenia stawi inicjatywie twórczej.

— Spekulatywne określanie celów, jakie powinny być przedmiotem dążeń ludzkich, — twierdzą tradycjonaliści, jest niezbędne nawet przy istnieniu etologji, i nawet przy możności wysnuwania z niej wskazań i zastosowań praktycznych. Jakże bowiem czynić zastosowania, nie ustaliwszy wprzód celów i zadań, którym zastosowania owe służyć mają? Tu właśnie jest pole moralności: ona to bowiem wartościuje akty woli ludzkiej i stwarza „królestwo celów".

Z tym argumentem wystąpili Fouillée, Belot, Cantecor, dowodząc, że moralność, w dotychczasowym pojęciu, jako prawodawczyni celów, istnieć będzie i istnieć musi zawsze, dopóki człowiek będzie stawił sobie pewne cele i dążył do ich osiągnięcia. U nas z zarzutem tym samym przeciwko Świętochowskiemu wystąpił p. Kurnatowski, opierający się na przedawnionym autorytecie Guyau.

Atoli, podejmując pomieniony zarzut, panowie ci dowiedli, że nie zrozumieli nic z pojęć wyżej przedstawionych. Byłoby rzeczą równie śmieszną żądać od innych gałęzi techniki, dajmy na to od techniki przemysłowej albo od medycyny, metafizycznego usprawiedliwienia celów, które osiągać pragną. Potrzeby nasze są funkcją doświadczenia, które, zarówno w zakresie zjawisk moralnych, jak w innych zakresach naszej działalności, wysuwa i nakreśla cele, będące przedmiotem dążyć ludzkich. Tam, w dziedzinie moralności, nie istnieje przed nami ani nad nami, żaden cel powszechny, jak niema go również w żadnej innej sferze działania, z wyjątkiem, rzecz prosta, tego celu najogólniejszego, który przewodniczy wszystkim sprawom i uczynkom człowieka, a tkwiąc u podstaw życia organicznego i zlewając się z jego istotą, przedstawia się, jako żądza trwania.

Dopiero poprzez zarzuty powyższe i poprzez ich krytyczne przezwyciężenie dochodzimy do właściwego zrozumienia zdania Świętochowskiego. W s z e l k a m o r a l n o ś ć j e s t m o r a l n ą. To znaczy: „jest ona odbiciem konieczności: — dana ludzka grupa w pewnym czasie i miejscu może mieć tylko taką moralność, jaką posiada". (str. 277) „W naszej epoce moralność wzniosła się już do ras, ale nie dosięgła jeszcze człowieczeństwa: dla nas największą zbrodnią jest zabić brata, mniejszą rodaka, mniejszą aryjczyka, mniejszą mongoła lub murzyna".

Przekonanie o względności pojęć i uczuć moralnych wyrosło na tle badań historyczno porównawczych; badania te przyniosły plon bogaty w pracach etologów nowoczesnych; prace te pomnaża zdobyczami cennymi ostatnie dzieło Świętochowskiego, dociekające „źródeł" moralności. Biorąc za punkt wyjścia trafne spostrzeżenie A. Comte'a:

---

chronistą, nie wiedział tylko, czy wstecz, czy naprzód

Więc postanowił dokonać ostatecznej próby, bo miał obawę, czy będzie mógł w dalszym ciągu żyć między ludźmi.

I zgłosił się do redakcji tego właśnie pisma, które pierwsze go uznało za zabójcę Monkey'a, fałszerza testamentu, które oplwało jego poprzednie życie w Europie, a które potem donosiło ciągle sensacyjne opowieści o tyrańskich sposobach eksploatacji kauczuku przez Dollara, dowodząc, że jest to ciąg dalszy moral insanity tego wybitnego typu degenerata i zbrodniarza.

Zgłosił się do redakcji owej i oznajmił, że pragnie cały swój obecny majątek oddać na cele publiczne.

Na twarzy Viviena malował się ból serdeczny. Drżał na myśl, że ludzie przyjmą takie pieniądze, za jakie mają jego majątek i od takiego człowieka, za jakiego go uznają.

Jeszcze jeden tylko promień nadziei miał, ostatni, że jednak choć krztyna godności w ludziach pozostała i że ofertę jego — wielkiej łapówki za rehabilitację łotra — społeczeństwo z oburzeniem odrzuci. Gdzież tam! Pękła ostatnia nić, która jego szlachetną duszę łączyła ze światem cywilizacji.

Redaktor oświadczył w imieniu społeczeństwa, że ono z rozkoszą ofiarę przyjmie.

Nazajutrz sporządzono akty, wydrukowano portrety jego, życiorysy, przypomniano proces jego w sądzie, jako próbkę genjalnego amerykańskiego humoru, zjawił się feljeton, w którym dziennikarz jakiś tłomaczył, że zabójstwo Monkey'a przez Viviena mogło być następstwem stanu furji, w której się mógł na chwilę znaleźć najuczciwszy człowiek, że testament mógł być autentyczny, że dawna rozrzutność Viviena była dowodem amerykańskiej tężyzny, a tyrania względem murzynów jest cywilizacyjną koniecznością.

Więc Vivien Dollar, odawszy swój majątek najformalniej, szedł samotny ulicą, oczy łez pełne nad nędzą ludzką, nad serc pustką, dusz spodleniem. Szedł zamyślony, aż stanął na dworcu, przed pociągiem, który miał unieść ludzi z miast w głąb puszcz i preryj Zachodu I machinalnie, odruchowo, instynktownie wszedł do wagonu...

A gdy był już daleko, w pustyni, wysiadł na stacyjce małej i poszedł gdzie oczy poniosą.

Zamieszkał wśród dzikich Komanczów ..

. I czekał.

Może będzie mógł powrócić do świata, gdy ludzie przesłaną się zjadać przy pełnych korytach, a czystość jego—ich wybieli.

Ale czekał naprózno — aż do śmierci.

K O N I E C.

„nie można zrozumieć żadnego pomysłu, jeśli się nie zna jego historji", — autor, badając moralność zwraca się przedewszystkiem do jej rozwoju, jej dziejów; szuka genezy jej w pierwotnym splocie instynktów, odziedziczonych ongi przez człowieka po najbliższych mu biologicznie zwierzętach.

Instynkty owe od początku działały w dwu kierunkach, jako: dążność do utrwalenia życia osobnika, i dążność do utrwalenia życia rodzaju. „Pierwsza, biologicznie zwana instynktem samozachowawczym, a etycznie — egoizmem, objawia się najwyraźniej w pożądaniu własności". (str. 270). Dążność wtóra, biologicznie zwana instynktem płciowym, doprowadziła do wytworzenia rodziny, będącej komórką i zawiązkiem życia społecznego. Rodzina stała się gruntem, na którym zakiełkowały i zeszły pierwsze ziarna moralne, pierwsze normy, zalecające życzliwość między małżonkami a ganiące, natomiast, okrutny egoizm.

Dalej posuwały wzrost moralności — dzieci. „Kochaj swoje dzieci, dbaj o ich pomyślność i bezpieczeństwo, wychowuj je starannie — z jednej strony, miłuj i szanuj rodziców, bądź im posłusznym, pomagaj w starości — z drugiej": oto szereg zasad, będących późnym kwiatem owych ziarn, jakie przed tysiącami lat jęły na gruncie rodziny kiełkować. Ile czasu w każdej grupie ludzkiej potrzeba było, ażeby te przykazania ustaliły się, nawet przybliżenie oznaczyć niepodobna. To pewna że skoro powstanie i wytrzyma próbę praktyczną jakiś nakaz lub zakaz, to wchodzi w skład tradycji świętych i staje się dogmatem religijnym, którego nietykalności odtąd strzedz poczyna karząca ręka bogów. „Religja sama przez się, jako steoretyzowana fikcja, nie zawiera źródeł moralności, które wyłącznie kryją się w życiu, ale jest jednym z utrwalających ją środków". (str. 281).

Drugim środkiem mumizowania zasad moralnych jest zwyczaj, owo „sumienie" opinji publicznej, drogowskaz wychowania i zarazem pobudka naśladownictwa.

Ktokolwiek bada pochodzenie i rozwój moralności napewno spotkać się musi na drodze poszukiwań swych z pytaniem: „w jakim stosunku pozostaje względem moralności i jej początków prawo, które przecież jest jej stróżem?" Dawano na to pytanie rozmaite odpowiedzi: gdy jedni twierdzą, że prawo jest niejako redukcją moralności (Jellinek: prawo jako minimum etyczne), drudzy dostrzegają między prawem a moralnością różnicę zasadniczą, rzeczową. Świętochowski nie godzi się z tymi ostatnimi. Sądzi on, iż prawo wyrasta z tego samego gruntu, co moralność. „Prawo, — powiada on, — jest tylko stężałą i skrystalizowaną moralnością. Jego stare kryształy co pewien czas roztapiają się w lawie wulkanów życia i tworzą się nowe, pozostają jednak zawsze odbiciem form obyczaju. Sumienia ludzkie idą prędko, a rozumy ustawodawców wolno, ale jedne i drugie po tej samej drodze". (str. 203).

Nie kusimy się o streszczanie poglądów autora; raczej błyskami jego spostrzeżeń staraliśmy się oświetlić pochód nowoczesnej myśli badawczej w zakresie moralności. Jakże bo streszczać Świętochowskiego? Nikt nadeń zwięźlej myśleć ani pisać w Polsce nie potrafi. Ktokolwiek chciałby go streszczać, wpadłby tylko w rozwlekłość. Djament można skruszyć, ścisnąć go niepodobna.

Stając u kresu badań autora, zatrzymajmy się na chwilę i spójrzmy wstecz, aby okiem ogarnąć długość drogi, przebieżonej przez myśl naukową od czasów greckich po dzień dzisiejszy: od Anaksagorasa aż do „źródeł moralności". Obraz dokonanego postępu w przeszłości natchnie nas otuchą na przyszłość i pozwoli sięgnąć wraz z autorem „Źródeł" w ów czas daleki, kiedy zarówno prawo jak moralność ulegną zanikowi, zmieniając się na naturalną funkcję woli ludzkiej: wówczas ludzkość, poniechawszy formułowania obowiązków, zajmie się pracą nad udoskonaleniem środków i warunków bytu; człowiek przestanie sądzić człowieka i wydawać o nim wyroki, natomiast starać się będzie przyjść mu z pomocą.

W. Rzymowski.

KRYTYKA.

Artysta pełni życiowej.

STANISŁAW CZARNOWSKI.

Jako artysta-rzeźbiarz jest on jednym z tych nielicznych ludzi, których dzieła są harmonijną syntezą. Nieraz zdarzało mi się widywać różne posągi i popiersia rzeźbiarskie, jakoby wykuwane dla jednego efektu. Widywałem, naprzykład, głowy kobiece, których efemeryczna piękność tkwiła w uśmiechu. Lecz był to uśmiech jakoby oderwany od duszy i zachowany świeżo na ustach — niepojętym sposobem. Można było rozkoszować się tym uśmiechem, lecz kiedy się chciało przezeń zejść dalej — odtworzyć sobie możliwą historję osoby z uśmiechem, okazywało się, że historji tej niema. Wątek się rwał, choć uśmiech na twarzy lśnił po dawnemu.

Inaczej jest z posągami Czarnowskiego. Ich czar tkwi w tym, że mają one swą długą, niewyczerpaną historję. Promienieje ona z tych ciał potężnych. Można obracać je i obchodzić na wszystkie strony: są to postaci historyczne, choć urzędowo nie ukoronowane.

Jego „Ewa" jest tragicznie piękna. W czym widzę szlachetność i męzkość talentu Czarnowskiego, to właśnie w powadze i doborze tych pierwiastków, które się składają na piękność jego „Ewy". Niema tam nic z piękności winietkowej, nic z pokus flirtowych lub heterycznych, nic feljetonowego, ani trochę groteski lub tej wątłości zalotnej, którą kobieta wystawia codziennie, jako jeden ze swych powabów organicznych. „Ewa" Czarnowskiego jest silna, lecz jej siła niema ani odrobiny męzkości, nic, coby mogło urazić mężczyznę — dlatego, że jest podobne do jego siły, ani jednego kantu, ostrego załamania mięśni, twardości, na której może się oprzeć oręż. Jej siła jest miękką, aksamitną siłą pantery, posiada cichy a gorący wdzięk kwiatu. Naogół — nic w niej, coby groziło, a wszystko, co nęci i woła. Jej głowa lekko pochylona ma bierność i czar zwisającej wdzięcznie gałęzi. Pyszny rozkwit ciała, które wydaje się tak czarujące, lecz zarazem bezbronne i niewinne, czyż nie jest rezultatem historji płciowej kobiety, która w ciągu tysiącoleci po-

trafiła schować w sobie głębiej, niż mężczyzna wszystko groźne, a wystawić na pokaz — miłe, bierne, aksamitne? Dowodem wielkiego artyzmu Czarnowskiego jest to, że nie dał się skusić niczemu przypadkowemu, że dał w swej Ewie tylko to, co konieczne, aby odczuć moc i kuszącą ciepłą piękność kobiety, a zarazem tragizm jej płciowego przeznaczenia.

Odrzuciwszy precz pokusy licznych subtelności, które kierują artystę na drogę szczegółów i rozbijają uwagę widza, sprowadził Czarnowski swą Ewę do dwóch surowych wymagań: siły i harmonji. Pokazał, że czar piękności kobiecej tkwi w psychicznej gotowości do oddania się, gotowości, która umie jednak wybierać i czekać, i w jej tryumfie milczącym, gdy patrzy na bujny rozkwit swego ciała. Jego „Ewa" może być wielką grzesznicą, dać i unieść wielką rozkosz, ale i znieść wielką klęskę. Nie umrze ona na serce i nie będzie szukała całej treści i usprawiedliwienia życia w emocjach łzawo-uczuciowych.

Ta całkowitość, ta pełnia i bujność ludzkości, właściwa talentowi Czarnowskiego, jest rzeczą wysoce cenną. Nie poświęca on całości dla szczegółu, charakteru dla nastroju, nie każe jednemu milczeć, aby inne mogło krzyczeć i nigdy nie ulega modnemu dziś prądowi, aby idealizować wątłość i słabość.

Jego „Precz" ma ten sam charakter pełni, co „Ewa". Jest to olbrzymi spiżowy posąg młodego mężczyzny, który w potężnych ramionach trzyma głaz — gotów rzucić go, gdy będzie trzeba. Szlachetny groźny gniew bije mu z twarzy. Mięśnie napięte, gotowe do walki. Postać cała tchnie uniesieniem. Nie jest to niewolnicza siła gladjatora, gotowa zginąć w walce dla rozpędzenia nudy imperatora, lecz siła groźna, świadoma wielkiego celu. Niema tu ani trochę rozpłakania, które w naszych czasach tak często łączy się z ideą słuszną i szpeci ją. Jest to obraz tęgiej rzetelności i męstwa, które mówi: „Precz z drogi... wy wszyscy, co zatruwacie powietrze i studnie ziemi — żonglerzy frazesów, żebracy, okrywający swą nędzę płaszczami zbutwiałych ideologji lub banknotami".. Dość krzywd, pychy i nadużyć! Jest to piękne posągowe wcielenie męzkiej tęsknoty do tryumfu światła..

To właśnie ideologiczne bogactwo, utrzymane w potężnych zarysach rzeźbiarstwa, ta moc i niezłomność ducha, promieniująca z dzieła artysty polskiego zyskała mu sławę i nagrody na obczyźnie — w Salonie paryskim i na wystawie w Petersburgu.

U nas Czarnowski — jeden z tych nielicznych artystów, których zdyszane, gorączkowe tętno życia współczesnego nie zdołało zatruć i zwrócić ich uwagi na szczególiki, urastające nagle do wielkości urojonych symbolów — jest prawie nieznany. Napisał o nim piękny artykuł w *Tyg. Illustrow*. Ant. Sygietyński. Poza tym—chyba nikt. W swej pracowni przy ul. Oboźnej pędzi życie samotne — ze swymi posągami, ze swą „Ewą" i piękną, lecz niestety uszkodzoną „Kleopatrą", jako jeden z tych wybrańców tak bardzo potrzebnych każdemu narodowi, i tak niebacznie marnotrawionych przez nasze niekulturalne społeczeństwo.

Leon Choromański.

Zza kulis krytyki literackiej.

V.

Samorodna hygiena ducha funkcjonuje automatycznie również, gdy chodzi o taki stosunek duszy do duszy, wogóle jednego koła życia do drugiego, który je zmusza przymierzać się do siebie. Te sprawy nie są obojętne, gdyż człowiek żyje nietylko realizowaniem swojej wartości w konkretnych dziełach, które go przetrwać mają, lecz także jej poczuciem w sobie i niejako jej kursem na giełdzie opinji ludzkiej. Otóż nie da się pomyśleć wypadek, żeby dusza zagrożona w poczuciu swej wartości przez inną duszę, nie zdołała z siebie wysnuć takiego mniej lub więcej wybrednego systemu pojęć, którymby nie objęła drugiej duszy, poglądu lub książki i nie uporała się z nimi w jakiś sposób. Jeżeli np. Feldman krytykując Żuławskiego wyznaczył mu w swojem uszeregowaniu rang literackich takie a takie drugorzędne miejsce to można z góry było przypuszczać i to też się sprawdziło, że Żuławski kiedyindziej przejdzie do porządku dziennego nad Feldmanem i przeto zechce też zdeprecjonować jego krytykę co do siebie. Dla poety z typu cyganerji może być bogaty właściciel cegielni tylko filistrem lub mydlarzem, naodwrót znowu poeta w oczach owego cegielnika jest tylko gryzipiórkiem lub wałkoniem, pogarda jest tu z obu stron tak doskonała i szczelna, jak np. między dewotką i kokotką, romantykiem a pseudoklasykiem, pacyfistą a futurystą jako entuzjastą wojny. Nietzsche uważał socjalizm za przystosowaną do nowych warunków odmianę chrześciańskiej dekadencji, socjalista Mehring (w „Legendzie Lessingowskiej") traktuje Nietzschego jako filozofa kapitalizmu i to go już uspokaja. Dla Cooka, wysiadającego na wyspę, ludożercy byli okazem antropologicznym, on dla nich pieczenią.

Jesteśmy w ten sposób kołem zawartym w innem kole i równocześnie zawierającym je w sobie — figura, która rysunkiem geometrycznym wyrazić się nie da, ale raczej symbolicznie, jako dwa węże w siebie wkąsane. Wyobrażamy sobie, że nasi antypodzi chodzą głową w dół zwróceni, a że my tylko jesteśmy na wierzchu planety, ci zaś „pod spodem" tak samo myślą sobie o nas.

Codzień słyszymy i patrzymy na to, jak szybko i gładko ludzie rozprawiają się z ludźmi, z książkami, z całymi poglądami; codzień sami to robimy. Naczynie pełne gotowych sądów jest na nasze usługi. Dwulicowość każdego zjawiska otwiera szerokie pole dla dowolności. Schopenhauer w swoim głównym dziele mówiąc o logice (I. §. 9) podaje tablicę, na której za pomocą kół przecinających się graficznie pokazuje, jak jeden fakt (peregrinari, podróżować) może podpaść pod różne oceny, jeżeli się popełnia zdolne i subtelne przesunięcia w subsumowaniu pojęć. W zakresie krytyki literackiej przydałby się spis sądów przeciwnych używanych dla określenia i oceny pewnych zjawisk literackich. Styl np. może być rozczochranym albo

bujnym, myśli głębokie lub niejasne, akcja dramatu może być przeładowana — albo obfita, poezje Staffa kryształowe lub zimne, „Dzieje grzechu“ pełne interesujących epizodów — albo awantur wyrwanych jakby z romansu kryminalnego, psychologja figur może być skomplikowana albo zagmatwana, cała rzecz może być wyrachowaną — albo obmyśloną, autor dał allegorje — albo najwyższe symbole ludzkości, język jego upstrzony dziwacznymi barbaryzmami albo też pełen tężyzny i świeżości i t. d. Ciekawy przykład takiej djametralności ocen zdarzył się niedawno z okazji „Narcyzy“ Nałkowskiej: p. Choromański podał jako główny rys charakterystyczny bohaterki tchórzliwy estetyzm, p. Belmont zaś powiedział, że tak właśnie kwiaty myślą, ja zaś miałem wrażenie, że obaj widzą to samo, zjawisko fizjologiczno-duchowe, tylko z innej strony i w innych wymiarach ilościowych, dlatego pierwszy uważa za typ ujemny to, co drugi zalicza do elity.

Każde dziecko zapewne przebywa chwilę zdumienia, kiedy spostrzeże, że między dwa rozwarte palce może zająć przedmiot ogromny lecz oddalony. Taką samą dziecinną satysfakcję sprawiają słowa. Objemność ich jest nieograniczona. Całe lasy subtelności, góry majestatu, morza głębokich uczuć mogą być odrazu pominięte lub gwałtownie zgęszczone w jeden snop, w jedno ziarnko, w jedną kroplę przez — słowo. Zdaleka jest wszystko podobne do czegoś, da się podciągnąć pod jakiś ogólnik, zawiera coś już na pozór znanego i przezwyciężonego. coś, co wywołuje wesoły okrzyk: aha! na usta. Mistyka? Aha! Romantyzm? Aha! Pamiętam, jak w kole młodych empirjokrytyków zwolenników Holzapfla już sama nazwa, „metafizyk“ uchodziła za obelgę mniej więcej tej rangi jak osioł. O tym skurczaniu doniosłości zjawisk mówi raz Hebbel: „Uczniak w najgłębszym ustępie biblji widzi tylko swoich dobrych znajomych: dwadzieścia cztery litery, za których pomocą jest ten sens wyrażony“. Zdarza się to jednak i wielkim ludziom: Wolter wyśmiewał dramaty Szekspira i uważał je za barbarzyństwo. Ale i w obrębie własnego ja spotykamy podobne zjawiska. W napadach skruchy jesteśmy pohopni nie zrozumieć własnego postępowania w przeszłości. Czasem znów wydarza się, że poglądy, któreśmy na pozór dawno już przezwyciężyli, naraz wypełniają się nowym życiem, odkrywają nowe zakątki, połączenia i wyjścia; co więcej nawet rzeczy, któreśmy dość dokładnie w abstrakcji wysuszyli, które istotnych niespodzianek sprawić nam nie mogą, nagle rozprężają się i rosną siłą swoich konkretów, rozlewając się szeroko po naszym polu widzenia.

Gdyby te pospolite fakty stały krytykowi w chwili wypowiadania sądu przed oczyma, chociażby jako formalny nakaz, gdyby odczuł, że właściwie ostateczną podstawą jego sądu jest tylko jego ja szanowne, a naprzeciw wznosi się jakby niewidzialny słup dymu i przesiąka przez niego sąd inny, któryby byłby może jego sądem, gdyby on stał na tamtym miejscu — wówczas wszelka krytyka weszłaby może na tory jakieś hamletowskie, lecz za to pojawiłby się w niej jeden żywioł, który dziś jest w niej jakoby zbytecznym, a nawet utopijnym — prawdziwa chęć przekonywania. Do tego nie potrzeba nawet dobroci ani sprawiedliwości, owszem im jaśniej widzi się stanowisko drugiego i zna jego rezerwy, tem złośliwszym być można, wykręcając mu jego własną broń w ręce. Zwykle jednak krytyka bywa jednostronną, to znaczy poprzestaje na rachunku od swojej strony, polemiki bywają podobne do sporu głuchych przekupek, a wogóle sądy wpadają w jakiś tajemniczy kocioł zwany opinją publiczną, o którym istnieje mniemanie, że tam się to wszystko miesza i wyrównuje.

Tak jednak być musi. Krytyka ma prawo do skrótów i do niedowidzeń. Nietylko prawo, czasem obowiązek. Krytyk literacki nowoczesny w tym porównaniu z dawniejszym jest np. bardzo często w niekorzystnem położeniu, że gdy tamten wykazywał usterki estetyczne jaskrawe i dla każdego zdrowego umysłu widoczne, dziś musi się nieraz kwestjonować i postponować usiłowania estetyczne nawet żywe, ciekawe, nawet w pewnym przekroju doskonałe i przez rozwój faktyczny nieprzezwyciężone,— jeżeli w nich wyczuwa pewne zadatki skostnienia.

Dotychczas uważano krytykę za instytucyę do wydawania pokwitowań z wysiłków artystycznych, do palladium sprawiedliwości. Nigdy ona tem nie była, ale taki był jej ideał, szczególnie u poetów, którzy rzucając dumnie swe utwory na fale oczekiwanej obojętności publicznej widzieli w krytyce rodzaj sądu ostatecznego, który ich przecież kiedyś wcieli do narodowego panteonu. „Kiedyś nas odkopie przyszły Mirjam Odwołujemy się do sądu potomności“. Tymczasem dzieje różnych sław literackich o czym rozpowiada nam Matuszewski — wykazują że sławy przechodzą różne fazy i nigdy nie są ustalone, każdy wiek ma innych patronów literackich. Wprawdzie mówi się o nieśmiertelności Homera, Aischylosa, Sofoklesa, Szekspira — ale są to nieśmiertelności emerytalne, zresztą kultura literacka świata jest jeszcze za młodą, aby dziś można komukolwiek gwarantować nieśmiertelność.

(D. n.) *Karol Irzykowski.*

Izydor Mayzner.

W tych dniach rozstał się ze światem b. czł. Rady P. Z. P. znany w szerokich kołach społeczeństwa przemysłowiec i działacz Izydor Mayzner. Dzięki niezwykłym zaletom umysłu i charakteru zmarły cieszył się ogólnym poważaniem, to też niespodziana jego śmierć wywołała wielkie współczucie. Dn. 15 b. m. liczny kondukt żałobny odprowadził zwłoki na cmentarz Powązkowski.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

*** *Polityka polska w Niemczech.* Jak było do przewidzenia, nasi zachowawcy i klerykaliści wszystkich trzech zaborów, widząc, że blok czarno-błękitny w Niemczech zachwiał się poważnie, śpieszą mu z odsieczą. W ultrazachowawczym *Dzienniku Poznańskim* zaleca wpływowy jakiś „Obywatel“ ratować zagrożone „państwo“, nie czekając na żadne ze strony rządu kroki pojednawcze; przedewszystkim więc powinno Koło polskie w Berlinie, ubiegając najzagorzalszych pruskich lojalistów, poprzeć bezwzględnie nowe projekty co do powiększenia sił zbrojnych i podwyższenia podatków:

Stronnictwo nie uchwalające zasadniczych postulatów państwowych, stawia się samo poza nawias rzeczowej dyskusji, zostaje w dziedzinie arbitralności i gwałtu. Postulaty podstawowe powinny być poza targiem. Powinny być spełniane mimo ucisku, mimo krzywdy, mimo wszystkiego. W imię zdrowego sensu politycznego. Powinny być spełniane, choćby czekać przyszło dłużej na rozsądną odpowiedź z drugiej strony.

Słowa tu cytowane wydać się mogą niejednemu szaleństwem lub mistyfikacją; są one, niestety, wyrazem zakorzenionego w sferach miarodajnych polityki polskiej nałogu zachowawczego służalstwa, zwanego w *Dzienniku Poznańskim* „zdrowym sensem politycznym".

Oczywiście, o „zdrowym sensie" niema tu mowy, jest natomiast realna bardzo piecza wielkich właścicieli ziemskich z Wielkopolski o swe dochody, tudzież troska kleru poznańskiego o swoje prebendy i wpływy. Tym decydującym, niestety, sferom łatwo nieść rządowi dowody bezwzględnej lojalności „mimo ucisku, mimo krzywdy, mimo wszystkiego", boć najmniej one ucisk i krzywdy odczuwają, a nawet, wobec tego, że państwo wzięło stanowczy rozbrat z Kulturkampfem i wywłaszczenia nie stosuje — składa im się życie nader pomyślnie i przytulnie w państwie bojaźni bożej i dobrych, junkierskich obyczajów...

Oględniej, niż poznańscy „realiści", lecz niemniej usilnie starają się i warszawscy realiści odwieść Koło polskie w Berlinie od wszelkiego, broń Boże, kontaktu z opozycją; pełne więc troski, pyta *Słowo*:

> Czy dziś, gdy niemieckie żywioły opozycyjne stanowią prawie większość w parlamencie, przyłączenie się posłów polskich do tej większości opozycyjnej byłoby w możności zapewnienia ludności polskiej jakich korzyści? Czy skłoniłoby rząd do traktowania z posłami polskimi, do zawarcia z nimi jakiejkolwiek ugody?

Takich złudzeń chyba mieć nie można — śpieszy zapewnić *Słowo* i natychmiast wyjawia, jakie to złudzenia mieć „można" i „trzeba" gdy się jest polskim „realistą", dodając:

> Tylko bardzo lekkomyślni politycy mogą twierdzić, że Polacy w zaborze pruskim nie mają niczego do stracenia i niczego zyskać nie można że i owszem trzeba powiększać zamieszanie w Rzeszy niemieckiej.

„Więc na szansach możliwego rozstroju wewnętrznego polityczy polscy polityki swojej opierać nie mogą"—konkluduje p. Z. Donimirski, dając do zrozumienia, że walka z rozpasanym junkierstwem i z hakatyzmem ściśle skojarzonym z typem obecnego rządu —jest karygodnym „rozstrojem" i „zamieszaniem" do czego dobrze wychowani i grzeczni Polacy przenigdy ręki nie przyłożą, raczej przeciwnie -- uczynią wszystko, by ocalić tron i Kościół . Zapomniał jeno roztargniony p. Donimirski, że centrum, przy którym stawać zwykli potulnie nasi posłowie, jeszcze niedawno szerzyło „rozstrój" i „zamieszanie", jako żywioł opozycyjny, a nawet nie wahało się zawierać ściśle sojusze z bezbożnym i antypaństwowym socjalizmem.

Tego jednak posłowie poznańscy nigdy nie uczynią. Biorąc podwójny rekord świętobliwości i poddaństwa, ubiegną oni w tym roku najzagorzalszych junkrów w lojalizmie państwowym, w myśl wskazań *Dziennika Poznańskiego*, zaś zgodnie z życzeniem *Słowa* wyprzedzą najpobożniejszych proboszczów z *centrum*, wyrzekając się raz na zawsze wszelkiego kontaktu ze skrajną lewicą.

— Postępując tak, nasi posłowie pozyskać mogą dobrą opinję w Potsdamie i w Watykanie— t. j. w obydwu ośrodkach największej dziś na świecie reakcji materjalnej i duchowej — ale w dziejach własnego narodu zajmą z góry już wyznaczone, bardzo niezaszczytne miejsce.

*** *Panowie i lud.* Jeden z najwybitniejszych włościan w naszym kraju, Teofil Kurczak, zamieścił w *Zaraniu* następującej treści oświadczenie:

> Oświadczam niniejszym, że z dniem 15-tym stycznia r. b. przestaję być członkiem Rady, jak również zwyczajnym członkiem Towarzystwa Rolniczego w Łowiczu, a czynię to dlatego, że doszedłem do przekonania, że pozostawać w nim dłużej niewarto.
>
> Świadczę się Bogiem a prawdą, wstąpiłem do tego Towarzystwa i chciałem w nim pracować, bo miałem nadzieję, że się przy pomocy naszych panów i dobrodziejów, z nimi razem dla polepszenia doli ludu coś zrobi. I po kilku latach cierpliwego wyczekiwania, że przecież zrozumieją potrzeby ludu i pójdą z nami, przekonałem się, że to rzecz nie do osiągnięcia.

Następnie przytacza T. Kurczak długi szereg faktów, ilustrujących intencje kierowników rzeczonego T-wa, a tak wymownych, że trudno się dziwić, iż z liczby 546-ciu włościan, należących doń początkowo w r. 1909-ym — pozostało zaledwie kilkunastu.

> Wielu kolegów moich Księżaków zarzucało mi nieraz, że tak oto siedzę w Towarzystwie tym, które nie jest dla nas. A na zebraniu Kółek Staszicowskich i potym przy paru okazjach zwolennicy Centralnego wypominali mi, że siedzę w tym Towarzystwie i nawet w Radzie, bo to dla chłopa rzecz nie pożyteczna.
>
> Objaśniam tu, siedziałem w onej Radzie i Towarzystwie z jednej strony dlatego, że stojąc w opozycji, napędzałem, choć bezskutecznie, „jaśnie wielmożnych" i wielmożnych do pracy dla ludu, a z drugiej strony nie chciałem, żeby po moim wystąpieniu z Towarzystwa, ze mną to samo uczynili i moi koledzy Księżacy. Nie chciałem dać powodu do mówienia, że działam na szkodę Towarzystwa.
>
> Teraz ogół sam zobaczył jego niepożyteczność dla włościan.
>
> Prezes Towarzystwa, p. Grabski, przed dwoma laty powiedział na zebraniu Rady, że „kto nam (panom?) będzie chciał przeszkadzać, to zawsze będzie przeszkadzał". Powiedział to dlatego, że twardo stałem przy zdaniu, że nie dwie osoby, ale osiem osób Rady stanowią mające wagę zebranie Rady. (Napisali sobie w ustawie, w jej art. 28-ym, że zebranie Rady jest ważne, jeżeli będzie na nim dwóch członków n w tym prezes). Pomimo to wszystko z Tow. Łowickiego nie występowałem; wolałem wystąpić prawie ostatni, niż pierwszy.
>
> Były Członek Rady T-wa Łowickiego
> *Teofil Kurczak.*

Deklaracja znanego w szerokich kołach ludowych działacza zbyt jest jest znaczącą i z naszej strony komentarzy nie wymaga, Centralne Tow. Rolnicze i sfery, które nim kierują, powinny wziąć ją dobrze pod rozwagę.

*** *Kobieta i Kościół.* Niedawno żalił się ktoś w *Dzienniku Powszechnym* na straszną w społeczeństwie naszym ignorancję w zakresie wiedzy religijnej, co idzie jakoby w parze z upadkiem pobożności. Okazuje się jednak że właśnie pobożni wydawcy pomienionego pisma, inicjując wieczory dyskusyjne na temat: Kobieta i Kościół, ra-

chuby swoje oparli dość widocznie na niewiedzy zebranych licznych słuchaczy, bowiem prelegent, p. Wincenty Kosiakiewicz, przekonywał z wielką swobodą, że emancypacja kobiet była i jest wielką troską kościoła katolickiego, czego dowodem—opinje ojców Kościoła o kobiecie, nadające się chyba do *Steru*, według tego, co wykładał o nich p. Kosiakiewicz. Lecz i natchnionemu autorowi „Bawełny“ zabraknąć może tchu, przeto pośpieszyła mu z pomocą *Myśl Niepodległa*, proponując na *motto* wykładu przyszłego słowa Apostoła Pawła z I listu do Koryntjan XIV. 34—36:

„Niewiasty wasze niech milczą we zborach, albowiem nie pozwolono im, aby mówiły, ale aby poddanemi były, jako i zakon mówi. A jeśli się czego nauczyć chcą, niechże w domu mężów swoich pytają, ponieważ sromota niewiastom we zborze mówić“. Albo tegoż apostoła słowo z I Listu do Tymoteusza II, 11 — 14: „Niewiasta niech się uczy w milczeniu ze wszelkim poddaństwem. Bo niewieście *nie pozwalam* nauczać, ani władzy mieć nad mężem, ale aby była w milczeniu. Bo Adam pierwszy stworzony jest, potym Ewa. I Adam nie był zwiedziony, ale niewiasta zwiedziona będąc, przestępstwa przyczyną była“. Następnie byłoby dobrze przytoczyć Tertuljana który kobietę nazywa „bramą szatana“ (de cultu feminarum I, 1) albo św. Augustyna, który tak się pięknie o kobiecie wyraził: „Im pobożniejsza jest niewiasta, tym więcej w niej skłonności do rozpusty, a pod pozorem religijności kryje się w niej fałsz lub trucizna wszeteczeństwa“. Dalej nie zawadziłoby przytoczyć orzeczenie soboru Nicejskiego (r. 325): femina janua diaboli, via iniquitatis, scorpionis percussio, nocivum genus (kobieta jest bramą djabła, drogą do nieprawości, żądłem skorpiona, tworem nieużytecznym), albo podnieść fakt chwalebny, że gdy na soborze w Makonie (roku 585) powstało zagadnienie, czy kobieta posiada duszę nieśmiertelną, sobór większością jednego (!) głosu sprawę tę rozstrzygnął na korzyść kobiety. Dobrze też byłoby powiedzieć słuchaczkom, że na jednym z większych kościołów w Rzymie znajduje się tablica z napisem łacińskim, zakazującym wchodzić kobiecie do tegoż kościoła *sub poena excomnicationis* (pod karą wyobcowania z kościoła). W kościele tym jest dużo bardzo świętych relikwji, a przeto został zamknięty dla „tworu nieużytecznego“.

Wiele, bardzo wiele mógłbyl p. Kosiakiewicz opowiedzić swoim słuchaczom o właściwym stosunku Kościoła do kobiety, lecz wolał on dyskretnie ominąć ten temat i pośpieszył przelać na łamy *Dziennika Powszechnego* wezbrane w piersi wzruszenie na widok szybkiego wzrostu ducha religijnego w Polsce od czasu, kiedy zaczął go czynnie popierać hrabia Sobański:

Wszyscy czuliśmy w duszy to, co tak pięknie ks. prałat Gnatowski określił, jako radosny widok wykwitania nowej zorzy na dzień słoneczny. Powiedzieliśmy sobie, że niedługo już nasze dość tymczasem szczupłe koło prelegentów będzie mogło się rozszerzyć i nowymi siłami wzmocnić.

A prof Massonius, który z racji swej pedagogicznej praktyki zna lepiej młodzież naszą od [illegible]

— A pamiętacie, panie Wincenty, com wam mówił niejednokrotnie? Mianowicie, że pokolenie, które idzie, jest dobrym pokoleniem, — o wiele lepszym od naszego..

Przyznając słuszność profesorowi, musimy w nawiasie zauważyć, że, *primo*, pokolenie „o wiele lepsze“ od Massoniusów i Kosiakiewiczów jest jeszcze nieszczególne, *secundo* zaś, że „radosny widok wykwitania nowej zorzy na dzień słoneczny“ rychło staje się dla sfer katolickich ponurą wizją nowej reformacji albo nowego modernizmu.

Dotychczasowe dzieje religji dowiodły niezbicie, że wszelkie budzenie myśli religijnej, wszelki polot uczucia, wszelki szczery zapał religijny, wywoływany pod hasłem walki z ateizmem — prędzej czy później musi wejść w kolizję ze zmurszałą rutyną Watykanu, ściągając na się, zamiast błogosławieństw, klątwy papieskie i biskupie. Ostatnim tego dowodem — dzieje Marca Sangniera, twórcy *Sillonu* we Francji.

*** *Polacy i Rusini.* Nawiązywane mozolnie przez grono ludzi rozważnych, poprzez łoskot obstrukcji sejmowej i wrzaski nieprzejednańców rokowania polsko-rusińskie znowu zostały zerwane... Ciesząc się z tego powodu, *Głos Warszawski* zapewnia, że Rusini mają i tak zawiele swobod, praw i przywilejów:

Idzie im o co innego: władzę dla władzy, a właściwie dla wyzyskiwania jej na rzecz swoją, o przywileje nie o prawa, a zdobycze bez pracy, o wpływy bez twórczości, słowem o formy polityczne, oparte na ich sile liczebnej, nie zaś na sile ich kultury i cywilizacji. W imię takich dążeń niepodobna sensownie apelować do prawa, można tylko apelować do siły, i to nie do siły społecznej, ale brutalnej, do gwałtów, burt, zamachów i obstrukcji fizycznej. W metodzie ich postępowania tkwi właśnie ta logika, że cele podobne osiągnąć można jedynie na drodze politycznego szantażu i wymu-[illegible]

Jak widać, przytomni politycy z oficyn *Głosu Warszawskiego* nie pojmują, że żywioł rusiński (42% ludności Galicji) kładzie zupełnie zrozumiały nacisk właśnie na liczebne swoje upośledzenie w sejmie, gdzie stanowi niecałe 15% a żąda dla siebie 30% mandatów, co nie jest żądaniem wygórowanym...

Stosowany we Lwowie system obstrukcji uważany za błędny i pożałowania godny, lecz skoro warszawski organ endecji piętnuje ów „polityczny szantaż“ — przypomnieć się godzi, że jest to tylko rusińska edycja „myśli nowoczesnego Polaka“... Niepomna na to, że sama przez szereg lat kazała Rusinom „hartować się w ogniu ciężkiej walki“ (por. *Przegląd Wszech.* z r. 1901) dziś woła do nich endecja, że „dopiero po zupełnym zerwaniu z metodami gwałtu może być mowa o jakichkolwiek ustępstwach“, parafrazując w najfatalniejszej chwili słynne stołypinowskie „naprzód uspokojenie, a potym reformy“... Na dnie tych wszystkich omówień, wykrętów i frazesów tkwi zacięta, fanatyczna niechęć do lojalnej z Rusinami ugody. Rzecz szczególna: te same żywioły, co tak ochoczo, bezpłodnie a wytrwale narzucają swoją niczym nie zrażoną lojalność w Petersburgu i Berlinie, czyniąc przeróżne awanse i narażając na szwank naszą godność narodową — gdy tylko mowa o istotnie możliwym i pożądanym ze wszechmiar porozumieniu z ludem pokrewnym, na zasadach sprawiedliwej równości — wszczynają tumulty i wrzawę zajadłych protestów.

KRONIKA.

HISTORYCZNE RODY A POLSKI STAN POSIADANIA. Siostry Ogińskie i z Ogińskich Oskierczyna przed paru tygodniami sprzedały Bankowi włościańskiemu majątek rodzinny Użmionę, w pow. dziśnieńskim za

150,000 rb Uźmiona, obejmująca przeszło 1,000 dzies. ziemi wybornej z lasem, leży nieopodal Dryssy w sąsiedztwie Franopola, sprzedanego niedawno przez książąt Lubomirskich również Bankowi włościańskiemu.

A więc sprzedawczykostwo magnackie dosięgać poczyna w ostatnich latach szczytów wydajności... Idą dobra za dobrami w Litwie, Wielkopolsce (z Rydzyną na czele!) na Ukrainie, aż wkońcu polski bogacz rodowy And. Potocki — zaprzepaszcza jedyną kopalnię węgla w Chrzanowskim, będącą w polskim posiadaniu.

WZROST GŁOSÓW SOCJALISTYCZNYCH W NIEMCZECH. Od pierwszych wyborów do parlamentu w r. 1871 aż do roku 1912, przedstawia się, jak następuje:

1871	101,927
1874	351,670
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
[illegible]	[illegible]
1884	540,990
1887	763,128
1890	1,427,098
1893	1,786,739
1898	2,107,076
1903	3,010,771
1907	3,259,020
1912	4,238,000

KARA PRASOWA. Redakcja tygodnika *Zaranie* skazaną została w drodze administracyjnej na rb. 200 kary za artykuł o kolei warszawsko-wiedeńskiej, umieszczony w Nr. 47 z roku ubiegłego.

MŁODZIEŻ W WYŻSZYCH UCZELNIACH NIEMIECKICH. Przed kilkoma tygodniami zaczął wychodzić miesięcznik *Brzask*, organ młodzieży z pod zaboru pruskiego. Między innymi artykułami znajduje się tam także statystyka studentów polskich w wyższych szkołach niemieckich. Dowiadujemy się z niej, że w Berlinie studjuje obecnie 209 Polaków, w Lipsku 188, w Monachjum 169, we Wrocławiu 124, w Karlsruhe 74 oprócz teologów. Wogóle w»wyższych zakładach naukowych pruskich studjuje 649 studentów i studentek, z czego na zabór pruski przypada 494, na Królestwo zaś i kraje przyległe 115. Reszty studentów dostarcza Galicja i obczyzna niemiecka. Inny stosunek liczebny pomiędzy studentami z zaboru pruskiego, a ich kolegami z Królestwa Polskiego i Cesarstwa, przedstawia się w 26 wyższych zakładach naukowych w państwach Rzeszy niemieckiej, poza Prusami. Studenci z Królestwa i Litwy stanowią przeszło połowę w pozapruskich uczelniach niemieckich, kiedy wielkopolan studjuje tam tylko 184. Reszta przypada na zabór austrjacki (84) i obczyznę niemiecką (39). Studentek we wszystkich szkołach niemieckich jest razem 25. Oprócz tego w technikach w Altenburgu, Ilmenau, Kotuniu, Mittwejdzie, Poznaniu i Strzelcach oraz w berlińskich konserwatorjach muzycznych Sterna i Scharwenki, jest Polaków ogółem 168, w czym 101 Królewiaków, w czem 18 kobiet.

TOWARZYSTWO ARTYSTÓW „MŁODA SZTUKA". W zeszłym miesiącu uzyskało legalizację nowe w Warszawie stowarzyszenie artystów plastyków pod nazwą „Młoda Sztuka".

T-wo to pragnie podnieść u nas kulturę artystyczną przez wprowadzenie sztuki do przemysłu i rzemiosł, oraz przez rozwój zdobnictwa w najszerszym zakresie. W ten sposób T-wo rozszerzy pole pracy artystycznej, a tym samym mieć będzie na celu polepszenie warunków materjalnych naszych artystów plastyków.

Aby zrealizować te cele, T-wo pomagać będzie swym członkom do wykształcenia się we wszystkich działach sztuki zdobniczej; T-wo bowiem ma prawo zakładać specjalne książnice, czytelnie, warsztaty, organizować wykłady i odczyty, wydawać czasopisma poświęcone sztuce, urządzać wystawy.

Chcąc zaś ułatwić odbiorcom pracy artystycznej wyszukiwanie artystów wykwalifikowanych we wspomnianych działach sztuki stowarzyszenie to zgrupuje pierwszorzędne siły, a stałe biuro T-wa udzielać będzie odpowiednich informacji i sporządzać kosztorysy prac.

Prócz tego zostanie wydany obrazkowy katalog, w którym znajdzie pomieszczenie cały szereg prac, wykonanych przez artystów, zapisanych obecnie na członków T-wa, w działach malarstwa kościelnego, sztuki drukarskiej, zdobnictwa, dekoracji teatralnych, reklamy artystycznej, a nawet mody.

Dn 4 stycznia b. r. odbyło się zebranie organizacyjne członków T-wa „Młoda Sztuka", na którym wybrani zostali do Zarządu pp.: Henryk Grombecki, Bronisław Brykner, Jan Brzeziński, Wojciech Rakowski, Aleksander Świdwiński.

Do Komisji rewizyjnej: pp. Kazimierz Stabrowski, Edward Trojanowski, Edward Butrymowicz, Marjan Szymanowski, Aleksander Kruszewski.

Na członków zastępców Zarządu: pp. Michał Boruciński, Zdzisław Eichler, Jadwiga Kernbaumówna, Wacław Radwan i Wacław Czerny.

OFIARY.

Na pomnik Chopina nadesłane z Ekaterynodaru: Zacharewicz rb. 5, Mordmiłowicz rb. 5, Ludkiewicz rb. 5, Rubiński rb. 2. Ogółem rb. 13.

Książki nadesłane do Redackji:

Rhys Dawids. „Buddyzm". Wydawnictwo Ultima Thule. Zarys życia i nauki Gotama-Buddy. Z upoważnienia autora z 20 go wydania oryginału przełożył St. F. Michalski. Warszawa -Kraków 1912. Skład w Księgarni Gebethnere i Wolffa.

Emil Kipa: „Fryderyk Geutz a Polska" 1794—1831. Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom XV. Z zapomogi kasy imienia dr. J. Mianowskiego. Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1911. str. 136. Cena kop. 80.

Kazimierz Marjan Morawski: „Ignacy Potocki" Część I 1750—1788 Monografje w zakresie dziejów nowożytnych. Wydawca Szymon Askenazy. Tom XXI. Z zapomogi kasy imienia dr. J. Mianowskiego. Warszawa. Skład gł. w księgarni Gebethnera i Wolffa. 1911 str. 144. Cena kop. 50.

Władysław St. Reymont: Ave Patria. —Lili. —Burza. - Tęsknota. — W palarni opjum. — Sielanka. — Los toros. — Ostatnia. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1911. Cena rb. 1 kop. 50.

Stanisław Ostrowski „Wielki Rok". Powieść na tle 1812 roku. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa 1912. 8-ka, str. 353. rb. 1 kop. 40.

Ac. Leonardo da Vinci: przekład H. Piątkowskiego z tablicami barwnemi. 1. Monna Liza, 2 Zwiastowanie 3 Madonna wśród skał, 4 Wieczerza pańska, 5 Bachus, 6 Głowa Chrystusa, 7. Portret Lukrecji Crivele, 8 Matka Boska, Chrystus i św Annna. Spółka wydawnicza w Łodzi, Warszawa. Wence i S-ka.

„Ogrodnik Polski". Skład nasion i narzędzi ogrodniczych p. f. „Ogrodnik Polski" wydał swój rocznik bogato ilustrowany.

Prenumerata „Prawdy" [illegible] z bezpłatnym dodatk: **W Warszawie** miesięcz. [illegible] 70 kwartał. rb. 2, [illegible] rb. 8, z odnosz do [illegible]

Z przesyłką poczt. do [illegible]

Za zmianę adresu [illegible]

Sekretarz redakcji [illegible]

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie [illegible] tych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w redakcji lub za pośred- [illegible] desłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne [illegible]

Korespondencji nie[illegible]nych lub niedo[illegible] nie opłaconych nie przyj- [illegible]

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce [illegible]

Przedpłatę przyjmują: administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych nume[illegible]

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. [illegible]

Kierownik literacki: **Wincenty Rzymowski** | Redaktor: **Aleksander John.**
Sekretarz Redakcji: **Leon Gorecki.** | Wydawca: **Józef Jabłoński.**

Druk. L. Bogusławskiego, [illegible]